



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY” (wraz z bezpłatnym dodatkiem)

W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8 z odnośnieniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2 k. 50, rocznie rs. 10.

Adres Redakcyi i Administracyi
Włodzimierska Nr. 2.

Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach, w Petersburgu w Księgarni Ungra, Plac Kazański Nr. 7.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ. Walka o byt IV. Patenty obywatelstwa. — I my? p. Rewerę. — Szeik i jego osioł tłom. p. Ad. J. C. — Zjazd górników p. J. K. Potockiego. — Józef Szujski (wspomnienie pośmiertne) p. A. S. — Z Heidelbergera p. J. Karłowicza. — Pessimizm i etyka III. p. N. Hirszbanda. — Piśmiennictwo polskie: Sewer Walka o byt p. A. J. C.; S. Sobieski Wspomnienia dawnego studenta; Z. Sarnecki Różni ludzie p. H. — Piśmiennictwo rosyjskie: Wiestnik Jewropy p. C. K. — Liberum veto p. Posła Prawdy. — W perspektywie p. Maryana Bohusza. — Tydzień polityczny p. S. C. — Cudze głosy. — Kronika bieżąca. — Odpowiedzi redakcyi. — Ofiary. — Ogłoszenie.

Z powodu wyczerpania się całego nakładu numerów: 1, 2 i 3 *Prawdy*, pewnej liczbie abonentów spóźnionych wysłaliśmy komplety pisma bez owych numerów, których nie posiadamy. Odpowiadając tem ogólnem oświadczeniem naliczne reklamacye, dodajemy, że nr. 1 *Prawdy* przedrukowywa się i wkrótce będzie rozesyłany tym, którzy go nie otrzymali.

Walka o byt.

IV.

(Patenty obywatelstwa).

Klasyfikacya wyznaniowa, o której mówiliśmy poprzednio, nie jest jedynym klinem, rozbijającym pień społeczny na drobne drzazgi i utrudniającym mu walkę o byt. Współdziałają z nim inne kliniki teoretyczne i praktyczne. Jeżeli zawieziemy na słowo żywotnym i nieżywotnym organom „większości narodu,” przyjmujemy za najautentyczniejszy jej typ szczerego katolika, czystego szlachcica lub „nieprzybłąkanego” mieszczanina, odpychającego ze wstrętem „zdrożne hipotezy” czciela tradycyi, zamykającego oczy w kierunku przyszłości a nadstawiającego uszy ku Zachodowi dla dosłyszenia odgłosów wojny, podjętej w jego interesie — to nie wyczerpiemy jego rysopisu. Posiada on jeszcze jedną cnotę: wierzy najmocniej, że on tylko jest patryotą a wszyscy, niepodobni do niego, jak trójkąty o trzech bokach równych — co najmniej szkodnikami, odszczepieńcami, zdrajcami. Gdybyśmy w jedną gromadę spędzili wszystkich zaszczyconych tym tytułem z takiego lub innego powodu, kto wie, czy nie wy-

padłaby nam większość społeczeństwa. Chłopi nie doszli do „świadomości” i mimowiednie wyrządzają nam szkody ekonomiczne; żydzi są tylko pasorzytami; wszelkiego gatunku postępowcy wynarodowionymi koscopolitami, robotnicy — „żywołem wywrotu;” jeśli więc dotąd istniejemy, to ratuje nas jakaś drobna garsteczka prawomysłnych obywateli, tak nie liczna, że jej dusze anielskie zmieszczą się kiedyś na końcu jednej szpilki. W tej garstce mieści się rozum narodu, serce, najszlachetniejsze uczucia i najbezinteresowniejsze zamiary — reszta albo ciemny motłoch, albo przebiegły wyzyskiwacz, albo niebezpieczny wróg. Ale i ów święty zastęp nie nosi swej korony bez cierni, którą mu w nią przeciwnicy wbijają, odpłacając pięknem za nadobne. Niema takiej klasy społecznej, na którąby nie spadały też same kamienie oskarżeń, tak że właściwie prawych, ostatecznie zatwierdzonych w godności obywatelskiej i powszechnie uznanych patryotów u nas niema. Ktosą Stańczycy? Zakała. Kto „tromtadraci”? Zakała. Kto szlachta? Zakała. Kto postępowcy? Zakała. Ostatecznie dochodzimy do wniosku, że my wszyscy, według tego lub innego słownictwa, jesteśmy zakałą społeczeństwa. Doprawdy nie umielibyśmy w niem wykazać takiej grupy, na którąby wszyscy zgodnie zawołali: to oni, to dobrzy patryoci! Zawsze odezwałby się mniejszy lub większy chór, oskarżający ich tylko — o zdradę.

Wszystkie narody rozłamują się na stronnictwa, walczące z sobą zawzięcie, ale w żadnym chyba tak one nie strzelają do siebie tem ohydny słowem, nigdzie chyba tak się nie obryzgały wzajemnie. Ostrym, często bardzo błotnistym jest język utarczek polemicznych między francuskimi dziennikarzami przeciwnych obozów; ale doprawdy nie możemy sobie wyobrazić, jakim by on był, gdybyśmy go za-

prawili naszą pohopnością do oskarżeń. Casagnacy i Rocheforty, znieważający codzień swój rząd i władze prawodawcze, uchodzą jeszcze za patryotów; podczas gdy my pozbawiamy praw tego stanu literata, który się odważył pochwalić... Darwina lub współczuć... bulgarom. W Niemczech obywatele mogą publicznie protestować przeciwko obchodowi rocznic bitwy pod Sedanem, my zadziobałibyśmy śmiałka, któryby zganił wyprawę Sobieskiego pod Wiedeń.

Nie idzie tu wszakże o podkreślanie objawów naszej nietolerancji, ale o pytanie: czy możemy wytrzymywać szczęśliwie trudną walkę o byt, skoro wszyscy jesteśmy odstępcami? Niepodobnieństwo odpowiedzi twierdzącej jest jasnem. Zabrnęliśmy w szowinizmie tak głęboko, piętnujemy się nawzajem tak nieopatrznie, że niema między nami tych Lewitów, którzyby arkę narodową ponieśli w przyszłość. Stoiemy na miejscu, oglądając się z nieufnością i grożąc sobie pięściami, jak bokserzy lub pokazując języki, jak dzieci. I ta podejrzliwa, zawadyacko-dziecinna strategia ma nam zapewnić zwycięstwo!

Wynaleziono przeciw niej lekarstwo, gorsze jeszcze od choroby — osławiona i wielokrotnie skompromitowana jednomyślność. Piramidalne to głupstwo stoi ciągle jako drogoskaz naszego życia zbiorowego. Gdy jakiś stary dziwak nakupił sobie zegarów i chciał je doprowadzić do bezwzględnej zgodności — można to zrozumieć i przebaczyć, bo ostatecznie zegary są maszynami jednej konstrukcyi. Ale żeby podobny pomysł chciano przeprowadzić z kilkunastoma milionami ludzi, ażeby wszystkim kazano rozwiązywać identycznie zagadnienia naukowe i społeczne, to bliżej graniczy z farsą, niż z powagą. Na komendę nikt nie zmieni swego mózgu i serca, jak nie zmieni nosa. Fałszywa też zasada, postawiona na czele na-

szego życia, musiała zrodzić ujemne skutki. Kto nie ma odwagi zetrzeć się z jakimś panującym prądem, ten płynie z nim obłudnie. W dziedzinie publicznego słowa wytworzyła się dusząca atmosfera kłamstwa i udawania, udawania wszystkiego—zarówno pobożności i obłocznego idealizmu, jak miłości dla pewnego kroju czapki lub surduta. Osiągnęliśmy w pewnej mierze jednomyślność, ale nieszczerą, pozorną, skłamaną. Czy nie prostszą a nawet dla utrzymania łączności pewniejszą jest droga swobodnej i najróżnorodniejszej wymiany przekonań, czy dla zgody nie lepszym byłoby otwarcie się wszystkich dusz na oścież? Obłudne, sztuczne ich przymierza i związki nie stanowią żadnej siły zbiorowej, tak jak unisono nie stanowi harmonii. Wiedza ludzka, chociaż jej strumienie wypływają z najrozmaitszych źródeł, skupia je wszystkie we wspólnym celu — w dążeniu do prawdy. Podobnie czynniki życia społecznego, mimo największego rozstrzelenia i różnicy kierunku, mogą połączyć się we wspólnym dążeniu do ogólnego szczęścia. Dlaczego w walce o byt, z tylu pierwiastków złożonej, wszyscy mają godzić w jeden tylko punkt i jedną tylko bronią? Dlaczego nie mamy zbroić się w rozmaite oręża i nie zajmować najodpowiedniejszych według każdego pułku stanowisk? Kto jest tyle pewny i tyle śmiały, ażeby mógł stanowczo twierdzić, że on posiada prawdę, on jak Mojżesz przeprowadzi swój lud przez niebezpieczeństwa i pokaże mu ziemię obiecaną? Mniej pychy!

Mniej pychy w mniemaniach własnych, więcej szacunku dla cudzych — a wtedy zniknie rozdzierany na wszystkie strony monopol patryotyzmu. Tych monopolów namnożyło się już tyle, że wszystkie unieważniają się wzajemnie. Zamiast wydawać sobie a odbierać innym patenty prawomyślności, słuszniej i w walce o byt

bezpieczniej równouprawnić wszelkie szczerze przekonania, wszelkie uczciwe dążenia a przyszłym pokoleniom pozostawić sąd, która nie w spletanym pasmie kierunków powinna być snuta dalej, a która przzerwana. Naród, którego siły są w naturalnym ruchu, który żadną nie gardzi, żadnej nie niszczy, lecz wszystkimi pcha się naprzód i wszystkimi pokonywa przeszkody—nie sztywnieje. Porzućmy dziecinną grę w kostki patryotyczne i niepatryotyczne, które mogą nas tylko osłabić i uczynić pośmiewiskiem innych społeczeństw, róbmy to, co każdy może, bez obłudy na ustach, bez nienawiści w sercu, bez błota w ręku, bez wywieśzania nade drzwiami swego domu konsensów prawomyślności.

II M Y ?

„W państwie kolei czuć zgniliznę...”

Głosy tego rodzaju odzywały się ostatnimi czasy w monarchii Habsburgów dość często. Skąd jednak załatywał odór, nie umiano sobie zdać sprawy wyraźnie. Opukiwano wszystkich *Eisenbahncavallierów* — ale panowie ci wyslizgiwali się z rąk podejrzliwości — czyści, niewinni i aureolą moralnego męczeństwa otoczeni...

Poruszone fale opinii poczęły się napowrót do dawnego układać poziomu, zawiedziony nos publiczny zaprzestał już bezskutecznego wietrzenia, gdy nagle taki buchnął kłab nieczystej pary i to z miejsca, powszechnie za *sancuarium* uważanego, że nienawykłe do takich wulkanów głowy doznały zawrotu.

Fatalna historia wysnuła się tak.

W grudniu r. 1881 wiedeńska Rada państwa uchwaliła budowę galicyjskiej kolei podkarpackiej (transwersalnej). W sprawozdaniach komisji parlamentarnych położono nacisk na to, że przedsięwzięcie to dokonaniem być winno przez zarząd państwa albo małymi udziałami, nigdy zaś w drodze przedsiębiorstwa ogólnego, gdyż ten system okazał się dla państwa o wiele niekorzystniejszym. Rada państwa nie opierała się wcale takim zapatrywaniom komisji, ale owszem była im przychylną.

Tymczasem w lutym r. 1882 zgłosił się niejaki bar. Schwartz przez pośredników do p. K. Kamińskiego, aby tenże użył swych wpływów dla pozyskania budowy kolei dla konsorcjum, na którego czele stał właśnie ów baron. Propozycję tę p. Kamiński przyjął, wymawiając sobie tylko naturalnie faktorne, którego wysokość oznaczyły kontraktujące strony na 3% sumy, przez rząd na budowę wyznaczyć się mającej.

Podjęte zadanie spełnił p. Kamiński — trzeba przyznać — uczciwie... Wpływy swoje zużywał nie tylko w wiedeńskich sferach rządowych, ale także starał się o zmianę publicznej opinii w Galicyi, która z początku kategorycznie oświadczała się przeciw oddaniu budowy w przedsiębiorstwo ogólne... Niestrudzone zabiegi sprawiły, że życzenia p. Schwartz'a uwieńczone zostały pożądanym rezultatem. Rząd oddał mu interes za wynagrodzeniem złr. 20,950,000.

Łatwo już obliczyć, że p. Kamińskiemu przypaść miała kwota 628,500 złr., jak nie trudno wywnioskować również, że konsorcjum p. Schwartz'a, tak grube płacąc faktorne, czy tam honorarium, przynajmniej trzy razy tyle spodziewało się zarobić na budowie. Na poczet rachunku swego otrzymał atoli p. K. za ledwie tylko 3,000 złr.—resztę Schwartz złożył w *Länderbanku* wiedeńskim. Dlaczego? Niewiadomo dotychczas.

Od tego czasu minęło miesięcy kilka. Zawiedziony w nadziejach swoich p. K. wytoczył Schwartzowi proces, który powierzył adwokatowi, drowi Wolskiemu, przedstawicielowi Lwowa w Radzie państwa. Rozpacz z powodu faktycznej ruiny majątkowej, czy też chciwość, albo obie razem górować musiały ponad wszystkimi innymi uczuciami w skołataną rzeczywistość głowie burmistrza stanisławowskiego, przytłumiły widocznie nawet uczucie wstydu, skoro zdecydował się na wniesienie do sądu pozwu, szczegółowo opisującego genezę zatargu z baronem Schwartzem.

Szeik i jego osioł *).

Zabawną historję opowiedział mi szeik pewien, który w pobliżu jednego z większych miast Małej Azji czuwał nad grobowcem świętego derwisza. Miał on przy sobie młodzieńca, imieniem Ali, którego wtajemniczał w misteryje swej wiedzy. Nabożnością i mocą nadprzyrodzoną szeik ów słynął daleko i szeroko, a ludność wiejska, arystokracja miejscowa, szczególnie zaś niewieścia jej część nadciągały doń ze wszech stron. Grobowiec po nad mogiłą był budynkiem zwracającym uwagę: obejmował kilka pokoi, w których mieszkali szeik i uczeń jego. Nocowali tam także niekiedy derwisze wędrowni. W głowach grobu wisiała lampa, która paliła się co noc, a nieraz i w dzień — naprzykład w rocznicę urodzin zgasłego świętego derwisza i wówczas, kiedy odwiedziny były najliczniejsze, kiedy składano szeikowi dary dla wyblągania odeń błogosławieństwa i wstawienia się. Okna niewielkiego przybytku w zupełności zawieszane były kałkami materyj, które pozostawiali tam wierni dla przypominania się ich wido-kiem świętemu, co w murach tych miał

swie siedlisko. A dary, które znoszono zarówno dla umarłego, jako i żywych wielce przydatne były szeikowi i jego uczniowi.

Posiadał też szeik od lat wielu pięknego osła, na którym odwiedzał przyjaciół swoich w sąsiedztwie. Nosił zawsze pełny strój stanu swojego, a prócz tego oznakę potomków proroka, turban owinięty zielonem suknem. Czy rzeczywiście był z rodu Mahometa i czy w danym razie mógłby na to przedstawić dowody, tego nikt nie wiedział, ale też nikt nie wątpił. Uczeń jego, Ali, głowę nakrywał zwyczajną czapką, noszoną przez szeików. Reszta ubrania jego, wskutek długoletniego użycia, znajdowała się w stanie wcale nie wesołym; okoliczność ta jednak najmniejszego nie miała wpływu na jego powagę. Przeciwnie, ubóstwo jest tak dobrze znanym przymiotem derwiszów, iż oni zeń głównie swą czerpią sławę. Ono to pozwala im przedsiębrać dalekie podróże bez obawy narażenia się na napady rozbójnicze lub niedostatek. Ubóstwo stanowi dumę proroka błogosławionego, ono też może być dumą szeika.

Pewnego piątku wieczorem, gdy wszyscy pielgrzymi się rozeszli, szeik przemówił do ucznia swego Alego o przedmiocie, o którym już często dawniej rozprawiał z nim, mianowicie o konieczności rozpoczęcia wędrówki derwiszowskiej.

— Z troskliwością — rzekł szeik — uczylem cię wszystkiego, co ci może być potrzebnem w przyszłym zawodzie. Dłuższe siedzenie w tem miejscu nie tylko byłoby

bez pożytku dla ciebie, ale nawet ze szkodą. Jak wiesz, mało mam dóbr ziemskich, ale to, co mam, chętnie podzielę z tobą.

Wzruszony dobrocią szeika, Ali rękę jego poniósł do ust. Odjazd nowicyusza postanowionym został na następną niedzielę.

W niedzielę Ali wstał bardzo rano i czekał tylko przebudzenia się szeika, żeby się pożegnać i wyruszyć w drogę. Niedługo zjawił się mistrz.

— Daję ci — rzekł — w dowód przyjaźni długoletniego, szacownego towarzysza, mojego osła, dalej siodło, jeden z moich watowanych kaftanów, miseczkę do zbierania jałmużny, zbroję żelazną, żebyś mógł obronić się dziłkim zwierzętom, skórę tygrysią, która cię osłoni od promieni słonecznych, w czasie zimna zaś ogrzeje, amulet, który sam nosiłem na szyi w małym cylindrze posrebrzanym i wór żywności na kilka pierwszych dni drogi.

Osiół naturalnie najwięcej miał praw do troskliwości Alego. Prędko stanął gotów do podróży, a objuczony był tylko workiem, miseczką i płaszczem, ponieważ Ali postanowił pielgrzymkę swą, zwyczajem derwiszów, odbyć pieszo. Szeik we wszystkich przygotowaniach serdecznie brał udział. Gdy wszystko było skończone, Ali i jego osioł puścili się w drogę. Szeik odprowadził ich pół mili, potem ręce ucznia ujął w swoje, pobłogosławił go, wzruszonym głosem zmówił pierwszy rozdział z Koranu, życzył młodzieńcowi szczęśliwej

*) Z dzieła John Browna *The Dervishes*.

Długoby jeszcze piastowali mandaty poselskie obaj bohaterowie galicyjscy nie tak rychło utraciliby zaufanie wyborców swoich, gdyby nie sztuczka jednego z wykwi- towanych pośredników, który, chcąc wy- wrzeć nacisk na przedsiębiorcę, treść po- zwu p. Kamińskiego ogłosił w berlińskim *Börsencourriere*.

Egzemplarze pisma tego spadły niby grom z jasnego nieba na głowy dwu kole- gów... Jeden z nich czmychnął czempre- dziej do Stanisławowa i telegraficznie uwi- adomił dra Smolek o złożeniu mandatu, drugi, dr. Wolski, do mniejszej poczuwają- cy się winy, pozostał wprawdzie w Wie- dniu, ale musiał tegoż samego dnia jeszcze z Koła wystąpić a już nazajutrz złożyć mandat.

Jak tylko przykra wieść obiegła sto- lice, członkowie Koła polskiego zebrałi się czempredziej na naradę i po żywej rozpra- wie, przy której obecnym był jeszcze i dr. Wolski, orzekli; że „niektóre, w pozwie p. Kamińskiego przedstawione czynności, sa- mo wytoczenie pozwu przez tegoż, jak nie- mniej złożenie jego i wniesienie przez dra Ludwika Wolskiego, wykraczają ciężko przeciw stanowisku członków Koła pol- skiego i narażają godność reprezentacji krajowej na uszczerbek.“

Stanowczy sąd Koła zyskał ogólne uzna- nie. Cześć mu się też należy za to, że bro- niąc honoru zarówno delegacji, jak i kra- ju całego, tak szybko zarządziło dezin- fekcję.

Ciemna karta dziejów galicyjskiego po- selstwa nie kończy się jednak na tym punkcie. W pozwie swym przytoczył p. K. szczegóły, które domyslać się każą, że w nieczystym interesie umaczały ręce tak- że inne osobistości, wysoko, bardzo wy- soko w hierarchii rządowej postawione... Nazwisk nie wymieniamy, bo te przy uży- ciu tysięcy sztuczek *eisenbahncavallier- skiej* kamarylli nie wydosłana się może ni- gdy na jaw — zbrukane, ale już dziś w szep- tach przelatują z jednego ucha do drugie- go... Opinia publiczna domaga się głośno i stanowczo zupełnego wymiencenia śmieci z Izby, która, pod tem parciem, zdecydo- wała się na krok bardziej energiczny, niż samo Koło polskie, najwięcej przecież ze wszystkich klubów w sprawie tej intere- sowane. Na wniosek lewicy Rada państwa

wybrała komisję do zbadania winy b. po- słów i stosunku, w jakim pozostawały inne osobistości; rząd zaś, na żądanie pra- wicy, oddał całą sprawę w ręce prokuro- ryi i zarządził śledztwo karne, przyrzeka- jąc nadto wszelkimi popierać siłami ko- misję, przez parlament wybraną.

Rezultatów śledztwa tego wyczekuje Galicya z niecierpliwością, acz przysto- waną jest na wieści dla siebie jaknajprzy- krzejsze. Podejrzenie, iż cień padnie i na innych „mężów publicznego zaufania,“ wgryzło się w umysły tak powszechnie, że ujemny wynik śledztwa uważano by za no- wy objaw rozpanoszonej w najwyższych sferach demoralizacji. Podejrzenie to jest zresztą najzupełniej uzasadnione. Boć ka- żdemu nasuwa się pytanie: co się stało z kwotą 625.000 złr. w *Länderbanku* dla dra Kamińskiego złożoną?... Zapytywany br. Schwartz udzielił w liście otwartym ta- kich wyjaśnień, że te nikogo zadowolić nie mogły i sprawę pogmatwały jeszcze bar- dziej; urzędnicy zaś *Länderbanku* a zara- zem posłowie galicyjscy, fachowcy parla- mentarni w sprawach kolejowych: hr. Stadnicki, Jaworski i Kozłowski tudzież Rappaport odmówili Kołu żądanych wyja- śnień.

A zatem śledztwo i tylko jak najsurow- sze śledztwo zdoła rozniecić choćby słabe światelko w tym ciemnym przewrotności ludzkiej labiryncie! Niestety, dają się sły- szeć głosy, że rząd — niewiadomo, o ile z własnej inicjatywy — nosi się z myślą *zatuszowania* całej sprawy, śledztwo zaś prowadzić się ma dalej jedynie dla za- mydlenia oczu nieprzejednanym Katonom. Pogłoski to wszakże dotychczas nie stwier- dzone.

Na zakończenie kilka jeszcze słów o na- stępstwach, jakie ta sprawa niewątpliwie za sobą pociągnie. Otóż więcej, niż pe- wnym jest, że osławiona zresztą także ze swoich *gründerstw* i najrozmaitszych *schwindlów* lewica nie omieszką spożytko- wać dla siebie tego fatalnego wy- padku, która najdzielniejszą będzie jej zaczepno - odporną bronią przy najbliż- szych wyborach. Cud to będzie prawdzi- wy, jeżeli rząd, prawica a zwłaszcza Koło polskie zwycięsko wyjdą z tego boju...

I my więc zaczęliśmy już na stanowi- skach reprezentantów narodu kłaść się łapownictwem? Przykro, boleśnie to wy- znać!

Rewera.

ZJAZD GÓRNIKÓW.

Posiedzenia „pierwszego dorocznego zja- zdu górników w Warszawie“ zamknięte, możemy więc rozpatrzyć się w ich owocu. Pozytywne rezultaty obrad zogniskowały się tymczasem w szeregu projektów, któ- rych urzeczywistnienie zależeć będzie od decyzji władz wyższych. Poznajmy treść owych „życzeń pobożnych.“

Nasze lekceważenie wyników wiedzy teoretycznej, nasze rozmyślnie czy bez- myślnie zastanawianie sobie oczu na społe- czną walkę o byt, której za podstawę roz- woju ekonomicznego uznać nie chcemy, słowem nasze systematyczne wyłamywa- nie się z pod praw ogólnoludzkich — wy- stąpiło zaraz w pierwszej uchwale zjazdu domagającej się ogromnego *podwyższenia* cła na węgiel szlaski. Propozycja ta w je- chała do protokołu obrad na umieszczonym przez nas wszystkich koniku — *dobra ogółu*. Dla czego? Bo o tym ogóle naszym nie mamy dokładnego pojęcia, a najwyższe jego dobro widzimy w możliwie częstem wymawianiu tego słowa; bo wśród nas nie rozpowszechniła się jeszcze elementarna zasada ekonomiczna o ciężarze *podatków pośrednich*, bo nie rozumiemy jeszcze, że dobrodziejstwa sztucznej ochrony celnej są nieraz*) złudzeniem odpokutowanym przez puste żołądki i podarte buty konsu- mentów.

„Podwyższenie cel ochronnych niezbe- dnem jest do dalszego rozwoju krajowego przemysłu“ — wołają opiekunowie ogółu.

Co to takiego ów przemysł i o kogóż właściwie chodzi? Zdaje się, iż „rozwoj przemysłu“ jest tylko piękną metaforą, która ma wyrażać: ekonomiczną pomysłność

*) Mówimy *nieraz*, gdyż pamiętamy o tem, że dla nas wolny handel byłby w wielu wypadkach zagładą polityczną (*Red.*).

podróży i wolnym krokiem powrócił do swego grobowca. Ali zaś wybrał pierwszą lepszą drogę w dolinie, wiedząc, ku czar- nemu łańcuchowi gór. Tak szedł przez dni kilka, nie pytając, dokąd łączy. W miarę ubytku żywiości jednak wyczerpywały się i siły osła.

Jednego dnia Ali, nadzwyczaj zmęczo- ny od upału, a głównie od ciągłego popę- dzania osła, który w żaden sposób nie chciał iść dalej i kilka razy już był upadł w drodze — wcześniej, niż zwykle, obrał sobie miejsce na nocleg przy drzewie pod gołym niebem. Nagle spostrzegł ku naj- większemu swemu zdziwieniu, że osioł je- go — wyciągnął kopyta. Zwierzę kilka razy odetchnęło głęboko, zatrząsło się na całym cieple, chrapnęło niemile, przewróciło żrzenie i — skonało. Ali od razu pozostał sam jeden na świecie, przy jego boku był tylko martwy osioł i nikt, kto by wraz z nim opłakiwał ciężką stratę. Smutna myśl przeniosła go do owego grobowca da- lekiego i do szeika, przy którym tyle lat spędził bez trosk. Ostatnie ogniwo, które łączyło go jeszcze z ową sielanką, pękło dziś nieodwołalnie. Podczas gdy tak sie- dział w smętnej zadumie, na widnokręgu dalekim powstał obłok kurzu, oznajmiają- cy zbliżanie się wędrowców. Ponieważ Ali obawiał się, aby ludzie, widząc przy nim nieżywego osła na drodze, nie posadzili go o okrucieństwo względem swego towarzy- sza i nie przypisywali mu winy jego śmierci — uważał za stosowne uprzątnąć go z gościńca i prędko zakopał pod pagór-

kiem. Załatwiwszy się z tem, usiadł znowu i zaczął opłakiwać swój los. Tymczasem przybliżył się obłok kurzu i Ali rozpoznał kawalkatę podróżujących, jak się zdawało, bogatych mużulanów. Na przodzie jechał mężczyzna, który widocznie był najznako- mitszym z jeźdźców. Na Alego, siedzącego przy drodze, początkowo nie zwrócił uwa- gi, gdyż znużony ołowianą atmosferą pę- dził w pełnym galopie. Ali, pragnąc ścia- gnąć na siebie wzrok jego, prędko się po- dniósł, czem rzeczywiście wywołał zatrzy- manie się jeźdźcy, który, gdy po jego cza- pce, miseczce i skórze tygrysyj poznął der- wisa, posłał do niego jednego ze swych służących z zapytaniem, czy nie potrzeba mu pomocy. Dowiedziawszy się zaś od słu- gi, że nieznajomy jest biednym derwiszem wędrownym, który, płacząc, siedzi nad świeżą mogiłą — bej (podróżny bowiem był bejem z okolicy, który od namiestni- ka wracał do domu) wraz z całą swą swo- ją pospieszył ku Alemu.

— Co ci jest, że tak gorzkimi płaczesz łzami? — spytał litościwie.

Ali ze smutkiem spojrział na grób, w któ- rym mieściły się śmiertelne szczątki osła.

Bej zrozumiał.

— Pewnie odumarł go tu towarzysz i biedak sam bez niczyjej pomocy musiał go pochować. Kiedy umarł twój towarzysz — pyta bej.

— O, dziś — odrzekł Ali i nowy stru- mień łez wypłynął z jego oczów.

— Czy długo żyłiscie z sobą?

— Od dzieciństwa — odpowiedział Ali drżącym od wzruszenia głosem.

Sam do głębi wzruszony tem szczerem przywiązaniem dwu derwiszów, bej uważał za niewłaściwe dalsze rozpytywanie się o losy zmarłego i powiedział Alemu, że poczytuje to za szczęśliwe zrzadzenie Opa- trzności, iż pobożny derwisz w tem miej- scu właśnie wyzionął drogiego ducha swo- jego i ma nadzieję, że spłynie stąd błogo- sławieństwo dla całej okolicy, która do- tychczas zupełnie pozbawiona była dobro- dziejstw związanych z posiadaniem gro- bowca człowieka świętego.

— Dla tego — kończył — proszę cię najusilniej, pozostań tu, nad świętymi zwłokami towarzysza twego, własnym kosztem wzniosę świątynię, a ty, jako przyjaciel wierny, będziesz odtąd jego stróżem. Nie lękaj się też o byt twój ma- teryalny, bo ja nim się zajmę.

Ali, widząc, jak szczęśliwy obrót wzięła niedola jego, starannie unikał wszelkich wzmianek o prawdziwej postaci zmarłego, spoczywającego pod pagórkem i ze skrzy- żowanymi na piersiach rękami przybrał minę pokorną i żalowaną. Bej oddalił się, przyrzekłszy mu wkrótce przysłać wszyst- ko, czego potrzeba.

Skoro powrócił do domu, natychmiast rozniosła się wieść, że w pobliżu zmarł derwisz święty i że bogobojny pan ślubo- wał wzniesić grobowiec nad jego mogiłą. Każdy, kto słyszał o tem, postanowił nie-

mieszkańców. Jakichżo mieszkańców uszczęśliwić zamierza uchwała zjazdu? Czy tych biedaków, którzy będą musieli dla uniknięcia chłodu częściej spotykać się z głodem? Czy właściciele rozmaitych fabryk, którzy na spożywcach i na płacy robotcey zaczęą odbijać koszt droższej produkcyi?

A może protekcyoniści obawiają się, że przy zmniejszonej eksploatacyi węgla krajowego zabraknie pracy ich robotnikom? Nie zabraknie. Ale trzeba zabrać się do budowy kolei fabrycznych, do naprawy starych i konstruacyi nowych dróg bitych, trzeba postarać się dla kopalń o kredyt długoterminowy, o zniżenie taryfy przewozowej — wtedy może jeszcze głodny szlżak znajdzie u nas zarobek.

O skuteczności tych wszystkich racjonalnych bodźców krajowego przemysłu powiedzieli uczestnicy zjazdu, gdyż stosowne życzenia przesłano komu należy. Jest to niekonsekwencya, która się tłumaczy tem tylko, że wymagania powyższe zgadzają się w zupełności z dobrem ogółu... właścicieli kopalń.

Ale tutaj nie kończy się jeszcze szereg mimowolnych omyłek.

Ciężaru podwyższonej opłaty celnej nie mają ponosić niektórzy z wybranych, jak np. towarzystwo gazowe. Dla czego? Czyż nie wchodzi ono w skład ogółu, czy może umiało skutecznie zabezpieczyć się kontraktem przeciwko strzelistym afektom zjazdu?

Motywa swoje właściciele kopalń wsparli nadto przykładem dawniejszych stosunków celnych pomiędzy Szlżkiem i Austryą, a na zakończenie kazali *ogółowi* pocieszać się ewentualną poprawą tutejszej waluty.

Tu zauważymy, iż stosunek guldenów Austrii, która *wywoziła* swój węgiel, do talarów niemieckich był taki, jak dzisiaj stosunek pieniędzy naszej prowincyi, która *przywozi* węgiel, do tychże talarów.

Uwagi powyższe w zupełności prawie zastosować się dadzą i do innej uchwały zjazdu — podwyższenia cla od żelaza surowego.

„Produkcyja tego materiału za granicą jest o 60% tańsza od naszej... Niemcy budują u nas tuż nad samą granicą fabryki, których wyrobami kraj cały wkrótce za-

leja.“ Oto są powody alarmów; trzeba się im przypatrzeć.

Najprzód, o ile skutecznym będzie ów środek zaradczy? Niemcy, posiadając olbrzymie kapitały i widząc grożące niebezpieczeństwo, wyteżą wszystkie siły, aby ogromną ilością wyprodukowanych wyrobów wynagrodzić skromniejsze zyski. Będą oni w dalszym ciągu zakładali fabryki tuż nad granicą, tylko już znacznie większe. Niska wartość rubla będzie i wtedy dzielnym ich sprzymierzeńcem. Większa produkcya *tańszych i lepszych* narzędzi żelaznych stanie się istotnie groźną współzawodniczką naszej ukołysanej elami fabrykacyi: dla wyrobów swoich nie znajdzie już ona rynków z taką jak dzisiaj łatwością...

Naiwna ucieczka pod obronę opłat celnych dowodzi raz jeszcze nieudolności naszych przedpotopowych pojęć ekonomicznych. Zdaje się, jak gdybyśmy nie słyszeli nigdy o zlewaniu się małych kapitałów, tak mocną jest nasza wiara w potęgę środków doraźnych!... Zamiast skutecznie walczyć z niebezpieczeństwem, odgradzamy się od niego murem... pruskim. Po za tą ścianą siedzą przecie prusacy, którzy wiedzieć powinni o sile naszej „papierkowej“ twierdzy.

Inne, dotyczące surowca uchwały zjazdu, jak i uprzysiężenie materyałów wytwórczych, ułatwienie komunikacyi — na zupełne zasługują uznanie.

O podwyższeniu cla na rudę cynkową mówić nawet nie warto, gdyż ogół, na korzyść którego ta uchwała zapadła, składa się z jednego tylko właściciela kopalni cynku... Zbyt mały — *ogół!*

Ten ostatni atak na kieszenie konsumentów spotkał się zresztą nawet w szeregach pp. obradujących z energicznym protestem. Zauważono bowiem słuszenie, że dla dobra jednego lub kilku wytwórców państwo nie może nakładać cla na taki produkt, którego u siebie prawie nie ma, a potrzebuje dużo.

Po wysłuchaniu takich egoistycznych żądań pocieszyć się często nie można nawet bardziej postępową i humanitarną uchwałą. Z poza niej bowiem także przeglądła interes wnioskodawców, jako jedyna pobudka działania. Tak np. zapadła w humanitarne piórka przystrojona uchwała,

pragnąca przymusowe wywłaszczenie posiadaczów ziemi bogatej w rudę zastąpić dobrowolną ugodą nabywcy ze sprzedającym. Skąd taka abnegacya interesów kopalniowych, dla których przed chwilą chcieli opróżniać kieszeni konsumentów? Oto wielu z panów górników należy jednocześnie do szczęśliwych posiadaczy większej własności ziemskiej.

W dalszym ciągu obrad zaopiekowano się losem robotników, pracujących w kopalniach i hutach żelaznych lub cynkowych. Pomijam naiwne rozmyślanie nad tem, czy składki do kas emerytalnych mają być opłacane przez samych robotników, czy też przez ich pracodawców. Takie spory przystoją tylko starym dzieciom, które udają, iż nie wiedzą dobrze, kto w każdym z tych wypadków będzie prawdziwym depozytorem składek. Chcę tylko podać do wiadomości czytelnika, iż uchwalono starać się o zakładanie kas *emerytalnych* dla górników z okręgu zachodniego i kas *przezorności* dla — wschodniego. Jedynie po dokładnem zbadaniu warunków miejscowych można powiedzieć stanowczo, która z tych dwóch form instytucyi kasowych jest bardziej odpowiednią; co do mnie, głosowałbym za możliwym ograniczeniem kas emerytalnych na korzyść instytucyi przezorności. Emerytura biedaków może stać się w rękach fabrykantów groźnym narzędziem wyzysku, do którego oni wstręt okazują rzadko. Można byłoby oznaczyć jakiś minimalny termin ostatecznego wycofywania wkładów, ale nie należałoby pozbawiać robotników całkowitej możności rozporządzania swemi pieniędzmi. Nadto w sprawie urządzeń emerytalnych głosowałbym za możliwą decentralizacyą. Kto choć raz doznał błędnego wpływu kruczków centralistycznych, zgodzi się na uproszczenie manipulacyi, gdyż większa jej zawilość otwiera drogę do tysiącznych nadużyć.

Do liczby najlepszych projektów zjazdu zaliczyć wypada plan założenia szkoły sztygarów w naszym kraju. Jest to jeden z najrozumniejszych kroków na arenie naszej walki z obcą konkurencyą. Zarówno rozmiary przeznaczonych na szkołę funduszy, jak i sposób ich realizacji nie pozostawiają nic do życzenia. Potrzeba tylko opatrzyć tutaj odpowiednią etykietką szcze-

zwłocznie wybrać się tam na pielgrzymkę, dla wyblagania łaski świętego.

Jeszcze słońce nie zeszło było z widnokręgu, gdy do Alego przybył wysłaniec beja, który przywiózł mu mnóstwo zapasów żywności i, całując w ręce, imieniem beja prosił „żeby nie opuszczał ich.“

Ali przyrzekł.

Nazajutrz rano Ali najprzód zajął się głębszem zakopaniem osła swojego, wilgocieniem i przydeptaniem ziemi nad nim, bał się bowiem, żeby nie domyślił się ktoś, jakie to są kości mniemanego derwisha. Zaledwie skończył, nadoignęła znaczna liczba wozów ładownych i wielu robotników. Każdy z nich zbliżył się do Alego i ucałował jego rękę; potem robotnicy zabrali się do wyładowania kamieni przeznaczonych na grobowiec i rozpoczęła się budowa, którą niezadługo ukończono. W głowach grobowca następujący umieszczono napis: „Oto jest mogiła sławnego *Kuta*, wielkiego nabożnego z zakonu znanych Kadirów, szejka Abd-el-Kadera. Czytajcie fatihę za jego duszę.“ Mogiłę obwiedziono siatką drucianą, dla uchronienia jej od dotknięcia rąk nieczystych. Ponad nią rozpostarto szal drogocenny. Z kopuły zwieszała się lampa, która paliła się dniami i nocą. Nabożna jakaś dama, umierając, zapisała pewną sumę na pokrycie kosztów oświetlenia grobowca. Prócz tego wiele innych zsyłało się legatów. tak, że Ali, jako stróż grobu miał się bardzo dobrze i otrzymał przydomek „Ali-szejka.“ Sława jego rozeszła się szeroko. Niepospo-

lita nabożność i liczne cuda, jakie czynił, obudziły zadróść innych szejków. Sława ta dosięgła nawet grobowca jego mistrza, który bardzo się dziwił, że nie nie słyszał o śmierci brata w zakonie. Czy to z ciekawości, czy też z zawiści, dość, że postanowił odbyć pielgrzymkę do wsławionego świeżo grobu. u którego też stanął jednego piątku w południe.

Dużo właśnie było tam patników; kobiety w tochterawanach, konno, inne na osłach, inne znów pieszo, podobnież mężczyźni. Mnóstwo także było chorych i kalek; wszyscy czekali ratunku u grobu i błogosławieństwa szejka Alego. Ponieważ nikt nie zwrócił nawet uwagi na starego szejka, usiadł przeto pod jednym z drzew, modlił się i rozmyślał o proroku i o wszystkich uwiecznionych świętych wogólności. Szejka Ali kilka razy przechodził koło niego i zdawało mu się, że już kiedyś w innych okolicznościach widział tego człowieka. Przez chwilę upatrywał w nim pewne podobieństwo do dawnego ucznia, lecz o tem nie mógł myśleć, bo Ali miał długą brodę i nosił ogromny turban, owinięty zielonem suknem, oznaczający, iż był potomkiem wielkiego proroka w prostej linii. Uczeń zaś jego od wielu lat był przepadł bez wieści, pewnie zginął gdzieś z nędzy, gdyż od chwili jak opuścił grobowiec, nie o nim nie było słyhać.

Kiedy zwolna porochochodzili się pielgrzymi i szejka przemówił kilka słów do dawnego ucznia, prędko się przekonał o słuszności swego domysłu. I trzeba mu

oddać sprawiedliwość, że szczerze się ucieszył, iż wychowaniec jego doszedł do tak świetnego stanowiska. Po długiej rozmowie o sprawach obu grobowców, stary szejek wyraził chęć dowiedzenia się bliższych szczegółów o czcigodnym derwiszu, co ostatnie w tem miejscu znalazł schronienie. Szejka Ali początkowo wzdragał się trochę wyznać prawdę, później jednak ulegając namowom swojego nauczyciela, zgodził się to uczynić pod zastrzeżeniem największej tajemnicy. Opowiedział tedy mistrzowi całą historję swojej pielgrzymki, nagłe zatrzymanie się w drodze wskutek śmierci osła, podarowanego mu wspianiałomyślnie przez szejka, i wreszcie, jak szczątki zwierzęcia kanonizowano na świętego. Ku największemu zdziwieniu Alego stary szejek, dowiedziawszy się o tem wszystkim, nie wyrzekł ani jednego słowa zdumienia lub nagany, lecz zauważył.

— Jak to dziwnie się dzieje na świecie! Pod tem samem zastrzeżeniem, jakie mi ty postawiłeś, i ja ważną powierzę ci tajemnicę. Świętym z mojego grobowca jest nie kto inny, tylko ojciec twojego świętego, który mi także zdechl i prawie w tych samych warunkach uzyskał sławę — świętego.

Tłom. Ad. J. C.

gólny wniosek jednego z pp. górników, żądającego, aby robotnicy, składający się w znacznej części na utrzymanie szkoły, nie mieli prawa wtrącać się do jej zarządu.

Nakoniec do najważniejszych decyzji zjazdu należy projekt utworzenia delegacji, ułatwiającej bezpośrednie stosunki naszego górnictwa z odnośną władzą w Petersburgu, a także uchwała, domagająca się prostszej manipulacji w udzielaniu koncesyj na użytkowanie z rud żelaznych.

Cokolwiek powiedzieliśmy o bezpośrednim wyniku obrad i uchwał zjazdu, sam fakt budzenia się samowiedzy społecznej pozostanie zawsze niezmiennie pocieszającym. Może też ci wszyscy, których pierwszy zjazd nie zbudził ze słodkiego uspienia, zrozumieją kiedyś własny interes i w chwili stosownej ockną się z letargu. Już samo oświecenie postanowień zjazdu krytyką prasy zbawiennie oddziaływać może na ożywienie naszego zajęcia się sprawami ekonomicznymi kraju. Tak jest: nawet najbardziej obiektywne przedstawienie faktów przez gazety odniesie dobry skutek, jeżeli tylko rubryki „wypadków brukowych” nie pochłoną całej energii i uwagi czytelników...

J. K. Potocki.

Józef Szujski.

(Wspomnienie pośmiertne).

Sława i niesława przylepiały się kolejno do tego nazwiska, które, wykreślone z listy żywych, zapisało się już wyłącznie w dziejach literatury polskiej. Już samo to rozdzielanie się prądu opinii na dwa przeciwne kierunki przekonywa, że jej przedmiot sterczał po nad poziomem potoku życia. I dla udowodnienia wartości, jak winy ludzkiej, potrzeba zwykłego dwu świadków: czci i nienawiści. Oba te uczucia kładły swe wieniec na głowę Szujskiego. Dziś rozlega się tylko chwala — zwykły u nas dzwon pogrzebowy dla wszystkich umarłych. Przed złożeniem do grobu, oczyszczamy ich jak żydów; czy ażeby zmartwychpowstawszy stanęli czysti na sądzie ostatecznym? Nie, dla tego, że zwykle oceniamy ludzi sercem, nieraz zepsutem i przewrotnem, ale zawsze sercem, które mięknie na widok trumny.

Szujski musiał wytworzyć naokoło siebie wir, bo często wychodził z pracowni uczonego na plac boju i przyjmował czynny udział w walce żywiołów polityczno-społecznych. A ponieważ był to umysł gorący, śmiały i reformatorski, więc słowa jego padały i odbijały się pod kątem ostrym. Reformatorstwo swoje naprzód podjął i względnie do innych działań najszcześliwiej przeprowadził w badaniach nad historią polską. Siedział na jej tronie zacny i potężny Lelewel. Trzeba było pokonać tego mocarza, rozbić jego zastęp i wywieść inną chorągiew, na której widniał napis: precz z tendencją w naucz. Precz z każdą: arystokratyczną, czy demokratyczną, republikańską, czy monarchiczną. „Tendencja — powiada Szujski — tam się zaczyna, gdzie nauka się kończy. Tendencja — to przykrawanie historii dla jakiegokolwiek celu politycznej lub moralnej propagandy; to używanie jej postaci do pięknych, artystycznych obrazów; to schlebienie nią próżnościom lub namiętnościom narodowym i społecznym; to oszczędzanie kogós lub czegoś z przyczyny na osoby lub publiczność; to pojmovanie historii jako paliatywu na pewne zdrożności lub pobudki na pewne uspienia.” Tym celom istotnie służyło nasze dziejopisarstwo. Rozkwitło ono w dobie politycznej śmierci na-

rodu, nie mogło więc nie wejść do jego systemu ratunkowego, nie mogło nie stać się orężem i lekarstwem. Potrzeba było niem protestować, pobudzać, zaskaniać, świadczyć, a że pasmo zdarzeń w cierpiących palcach tkło się nieraz fałszywie — objaw bardzo naturalny. Gdy u nas wszystkie niemal nauki poszły w służbę do polityki, najpotrzebniejsza jej historia niepodległa zostać nie mogła. Przyszła wszakże czas, w którym musiała się ona wyzwolić. Między innymi dzielnie wsparł ją Szujski. „Wierzajcie mi panowie — mówił on w jednej ze swych lekcji — nie stracimy na tem dążeniu do jaknajwiększej przedmiotowości w historii, na tem zajrzeniu przeszłości oko w oko, nie z uczuciem tęsknego syna, bolejącego na grobie ojca, nie z gorączką spadkobiercy, któremu tylko krew i łzy padły udziałem, ale z pocuciem potomka tego wielkiego i wspaniałego domu, który patrząc na ruinę, odgaduje jej dawne kształty, bada, co było siłą, a co słabością wielkiego politycznego budynku, a duchem twórczym przyswajając sobie siły, słabości potępia na zawsze.” Ganiąc kosmopolityzm, wykazywał jednocześnie, że „niemniej szkodliwym jest i partykularyzm narodowy, zamykający naród w szklannej bani jego marzeń i przywidzeń, naginający świat do tych przywidzeń i marzeń, wyjmujący dzieje nasze z pod ogólnych prawideł, rządzących światem, zasłaniający stan nasz przed dyagnozą rozum, nauki, zdobyczy cywilizowanego świata a wdrażający nam pychę boleści, partykularyzm wreszcie, zmniejszający wagę grożących nam nieprzyjaciół, a pochlebiający naszym siłom i przeceniający ich doniosłość.” Był to silnie orzeźwiający a dla społeczeństwa i historyografii naszej nader dobroczynny prąd. Na szczęście Szujski nie poprzestał na głoszeniu komendy, lecz sam spełnił jej obowiązki: zbadał gruntownie i ogłosił *Dzieje Polski*, wypracował szereg monografii, rzucił się do wydawania źródeł. Zapewne, nie on wprowadził krytycyzm do historii, ale on podniósł do tak wysokiej potęgi, że słusznie z tego tytułu między dziejopisami naszymi był gwiazdą pierwszej wielkości. Czy owa wygnana przezeń z badań historycznych „tendencja” nie przekradła się do jego dzieł? Sam on powiedział: „historia zależna jest od sumy zasad i pojęć przedstawiającego ją pracownika.” Szujski był tylko człowiekiem i nadto człowiekiem partyi. Mimo wszelkiego oporu musiał on „sumę swych zasad i pojęć” zabezpieczyć na hipotece dziejów, tylko że w nich jej pieniacko z wszelkiem pogwałceniem prawdy nie egzekwował.

Jakie były owe zasady i pojęcia — na to pytanie dają nam odpowiedź publicystyczne prace zmarłego, a przedewszystkiem słynna *Teka Stańczyka*, napisana do wspólni ze St. Tarnowskim i St. Koźmianem. Jak wiadomo, potępiła ona „nieprzerwalność ruchu,” sponiewierała ostatni jego objaw, wydrwiła „radikalizm” polityczny, słowem — jak powiada jeden z jej bohaterów „wypaliła ranę kamieniem piekielnym i wyrzuciła ostrem narzędziem.” Jakkolwiek urzędowe płaczki warszawskie pragną uwolnić nieboszczyka od odpowiedzialności za winy stronnictwa, którego on był głową, nie przeszkadza to nam zaznaczyć, że operację rozpoczął naprzód sam Szujski w broszurze przeciwko niustającemu w naszych dziejach porozbiorowym *liberum conspiro*. Idea *Teki*, oczyszczona z przypraw paszkwili, wskazywała narodowi drogę „pracy organicznej” jako jedyny sposób dzwignięcia się z upadku i wytrącała mu miecz z dłoni. Idea ta, która dziś przenika w ogół coraz głębiej, nie byłaby przebiegła po jego nerwach wstrząsająco, ale wpływowo i nie ściągnęłaby na swych apostołów miana „grabarzów,” gdyby się nie przybrała w formę szykany dla wszystkich żywiołów społecznych a mie-

dzy wierszami nie umieściła panegiryku dla klerykalno - arystokratycznego. Rok 1869 nie był chwilą do wypalania krwawiejszej rany „kamieniem piekielnym;” wtedy, gdy właściwą była i powalone społeczeństwo życiem natchnąć mogła przestroga spokojna i z godnością wypowiedziana. Stańczycy, ujawniwszy się za ręce, zaczęli z naigrawaniem i chichotem tańczyć naokoło niego. Taka kocia muzyka musiała odbić się wstrętem w szerokich kołach i na długo moralnie zabić słuszną i żywotną myśl odrodzenia się przez pracę. Wstręt ten spotęgowała natura stronnictwa, które się utworzyło na zasadach *Teki*. Wydstylowało się ono w jakiś wyskok legitymizmu, rozcieńczony jedynie klerykalną służebnością i arystokratycznym zuchwalstwem. Być może, iż ten ostatni rys na obliczu partyi pochodzi od najczynniejszego w niej hrabiego, ale i to pewna, że Szujski wszystkie główne dogmaty katechizmu Stańczykowego wyznawał, a więc był również w polityce bieżącej legitymistą i klerykałem z polityki lub przekonania.

Czyż mamy tę ujemność potrącać z jego zasług a w to pośmiertne wspomnienie wsuwać nutę wyrzutu? Bynajmniej. Po nad różnicami zdań stoi prawo równające wyznawców wszelkich zasad — prawo szczerzego przekonania. Ono zabezpiecza Szujskiego przeciw oskarżeniom po śmierci, chociaż go nie zabezpieczyło przeciw gwałtownym napaściom za życia. Nikt nie ośmielił się twierdzić, że on słowami publicznymi chciał tylko pieścić uszy swoich możliwych sojuszników lub okupić sobie karierę. Tak myślał i tak czuł — to było jego zasługą lub winą. Chybienia i omyłki leżały w naturze jego namiętnego, szybko zapalającego się umysłu. Pamiętajmy, że nie był on jedynie ścisłym, oderwanym od życia badaczem, lecz także poetą, pisarzem, który w swych kameleonowych przekształceniach wyczerpał wszystkie niemal postacie twórczości, poczynawszy od wierszyków estradowych a skończywszy na poważnych dramatach. Dość ogarnąć okiem spis jego prac, w którym poważne dzieła naukowe przeplatają się z artykułami przygodnymi, ażeby dostrzedz tę ruchliwość, gorączkowość i wielostronność życia. To wydaje *Scriptores rerum polonicarum*, to przyrzecia się do agitacji wyborczej, to pisanie *Dzieje Polski*, to fabrykowanie listy Stańczyka, to tworzy tragedję, to znowu wiersz dla pani Modrzejewskiej. Może jako przyszły dziejopis chwil obecnych oceniałby je inaczej; zamieszany do walki, dowodząc jednym jej pułkiem, wierzył tylko w jego męstwo i tryumf, nie dostrzegając w kurzawie boju ogólnego przebiegu zapasów.

Jeśli każdy naród potrzebuje ludzi idei, szerokich umysłów i mocnych charakterów, to nasz potrzebuje ich szczególnie. A takim umysłem i charakterem był niewątpliwie nasz przeciwnik — Szujski. „Bóg mnie zmiadził!” — wołał pobożnie przed śmiercią. Nie Bóg go zmiadził, ale praca go wyczerpała a ognie wewnętrzne strawiły w 47 roku życia. Miałaby to być również ofiara celowości? Chyba nie, bo wszakże śmierć jego nie tylko strasznie wyszczerbiła stronnictwo, ale otworzyła w literaturze pustkę, do której zapelnienia każdy z tego szeregu jest za małym. Trudno: przeniesmy z szacunkiem imię zmarłego do historii piśmiennictwa i ucząc się z tej księgi — prowadźmy ją dalej.

A. S.

Z Heidelberga.

Luty.

Statystyka jako siódme wielkie mocarstwo. — Liczba mieszkańców i wypijanego bawara. — Śmiertelność. — Emigracja. — Morderstwo — Niepiśmienni. — Uniwersytety. — Tylko 15,000 książek rocznie. — Ale za to 400 milionów marek na utrzymanie... pokoju.

Jeżeli metaforycznie społeczeństwo nazywamy ciałem, to cyfry statystyczne, rządzące niem, nazwać byśmy mogli kośćmi tego ciała; a jeżeli opinię publiczną niektórzy uważają za szóste wielkie mocarstwo, to tem słuszniej liczby statystyczne poczytywaćby należało za siódme wielkie państwo. Są one, jak ów tajemniczy *Vehmgericht*, ukrytym sądem postępu lub cofania się narodowego; nie przemawiają codzien i głośno, jak szóste mocarstwo, ale raz do roku wygłaszają swe potępiające lub zachęcające wyroki, a brzmienie ich trwoży lub raduje narody, wskazując im z matematyczną dokładnością zsumowane rezultaty codziennych zabiegów i wysiłków, zbroczeń lub dorobków całorocznych.

Nadeszła właśnie godzina obrachunku: zaraz po nowym roku skrzętne biura statystyczne niemieckie obliczyły przewyżki i niedobory społeczne, o ile one w cyfry przyoblec się dają, i ogłosiły wyniki swych obliczeń. Oto mam przed sobą urzędową *Statistik des deutschen Reichs* na r. 1883, spore, rojące się drobniautkami cyframi dzieło; a oto malutki, popularny wyciąg z niego, dokonany przez sekretarza cesarskiego urzędu statystycznego, niejakiego Thomaszewskiego, p. t. *Statistische Notizen für das deutsche Reich* na r. 1883, kosztujący tylko pół marki, lecz zawierający miliony milionów. Zajrzyjmy do obu tych rachunków sumienia i postarajmy się wyciągnąć z nich ciekawsze wiadomości: niektóre z nich blisko nas obchodzą. Uprzedzić jednak winienem czytelnika, iż z powodu trudności prędkiego zgromadzenia niektórych danych, nie wszystkie pozycje wymienionych wykazów statystycznych są najświeższej daty; zwykle bowiem załatwiają się one w parę lat dopiero, tak iż np. w tegorocznych sprawozdaniach pewne kategorie odnoszą się do lat 1880 i 1881, a o r. 1882 dowiemy się zaledwie w roku przyszłym.

Z końcem r. 1880 liczyło państwo niemieckie 45,234,000 mieszkańców (drobniejsze cyfry końcowe tak tu, jak i w dalszych liczbach redukuje do zer); w ciągu pięciu lat (1875—1880) przybyło zatem Niemców półtrzecia miliona, czyli po pół miliona rocznie; w tej liczbie jest na 100 mężczyzn 103 kobiety. Te 45 przeszło milionów, w r. 1880/1 (rok tak zwany administracyjny), wypili piwa bawarskiego taką olbrzymią dozę, iż na duszę wypadło po 88 litrów, czyli 22 garnce warszawskie; to jest, mówiąc innemi słowami i bardzo malowniczą metaforą: każdy Niemiec, nie wyłączając niemowląt, kalek, chorych, kobiet i zgrzybiałych starców, pochłoniął w ciągu roku wannę piwa. Oczywiście, w zastępstwie drobnych dziatek pili mniej lub więcej do tego upoważnieni zastępcy. Tytuniu wypalił każdy przeciętny obywatel niemiecki 1½ kilograma, czyli około 4 funtów naszych.

Odbywało się to (o ile nie na świeżem powietrzu) w 5,631,000 domach mieszkalnych. Gęstość zaludnienia przeciętna: 84 dusze na jednym kilometrze kwadratowym, czyli 4.185 na mili kwadr.; najmniej w Prusiech wschodnich i zachodnich (54), najwięcej w królestwie saskiem (198). W miastach mieszka 18,720,000, we wsiach 26,513,000 ludzi (wsiami nazywają się miejscowości liczące mniej niż 2,000 dusz), czyli ludność miejska stanowi 41,

4 procent, a wiejska 58,6 procent sumy ogólnej. Starców i kobiet przeszło 70-letnich liczono w ogólnej liczbie mieszkańców 2½ na stu ludzi, czyli na ogół 1,080,000; nieżonatych i niezamężnych osób 60 na sto, rozwiedzionych 2 na tysiąc. Protestantów 63, katolików 36 na stu. Na 1,764,000 dzieci, urodzonych w r. 1880, przypadało 9 na sto nieślubnych, a wogóle na sto dziewcząt 106 chłopców; ale że umarło na 1,000 osób płci żeńskiej 1.092 mężczyzn, więc większą śmiertelnością płci męskiej wyjaśnia się liczba 103 żyjących kobiet na 100 mężczyzn.

Lecz nie przez samą śmierć tylko zmniejsza się liczba obywateli niemieckich: wielu z nich nie dobrze jest w ojczyźnie, czy to z powodu nędzy i konkurencji, czy też ze wstrętu do służby pod karabinem, lub też skutkiem niemiliwych zajęć z sądami. Wędrują więc do innych części świata, przeważnie do Ameryki. Cyfra wychodźców niemieckich bardzo jest znaczna. W r. 1881 wyemigrowało 211,000 ludzi (pomiędzy nimi 123,000 mężczyzn); w tej liczbie z trzech niegdyś polskich prowincji (Pomorza, Prus zachod. i Poznańskiego) przeszło 72,000, a zatem przeszło jedna trzecia część ogólnej cyfry wychodźców! W r. 1882 opuściło ojczyznę 228,000 Niemców; do Afryki, Azji i Australii z tej liczby udało się tylko około 1,000 osób, reszta do Ameryki, i to głównie do Stanów Zjednoczonych. Na ogół tedy corocznie ósma część cyfry nowonarodzonych ubywa z całej masy ludności przez emigrację.

Komu zaś jeszcze jest gorzej, niż emigrującemu, to sobie życie odbiera. Źródła moje nie podają ogólnej liczby samobójstw, lecz tylko wypadki w miastach, mających więcej niż 15,000 ludności, z ogólną cyfrą 8 milionów. Otóż na te 8 milionów przeszło 2,500 ludzi życie sobie odjęło, czyli na 1,000 zmarłych w r. 1881 dwunastu zginęło z własnej ręki; zamordowanych było zaś 139. Porównajmy tę ostatnią cyfrę z datami Stanów Zjednoczonych. Przyjmujemy ludność ich jako sześć razy większą od powyższych 8 milionów; otóż na takową znajdujemy (w pierwszym numerze tegorocznego nowojorskiej gazety *Tribune*) liczbę morderstw w 1882 roku: 730 (nie licząc 57 ludzi, powieszonych lub wogóle pozbawionych życia z wyroku sądów doraźnych, czyli tak zwanych *lynchów*); a zatem stosunkowo w Niemczech morderstw było o jedną dziesiątą część więcej, aniżeli w Stanach Zjednoczonych. Może ta drobna wskazówka zwróci uwagę tych, którzy, głosząc za nieskutecznością oświaty na moralność. Co do chorób, na które ludność niemiecka umiera w r. 1881, to te na tysiąc ludzi tak się grupują: suchoty 275, choroby płuc i przyrzędu oddechowego 221, prócz tego dyfteryt i krup 81, szkarlatyna 50, tyfus 34, koklusz 27, kiszczkowe 101, apopleksya 68, biegunka 87. Nie na to nie poradziło ani 17,623 lekarzy, ani 4,430 aptek, ani 2,576 szpitali ze 127 tysiącami łóżek.

Przypatrzymy się teraz niektórym wskazówkom statystyki oświaty. Do wojska w roku zeszłym przyjęto 150,000 nowozaciecznych; z tych nie było w szkołach ogółem 2,368 niepiśmiennych zaś, to jest takich, co ani czytać, ani nazwiska swojego podpisać nie umieli, liczono na tysiąc: z Prus wschodnich 70, z zachodnich 87, z Poznańskiego 100 (!), ze Szlązka 23 i (o dziwo) z Alzacji i Lotaryngii 22 (to chyba nieporozumienie, zapewne nieumiejących zgoła po niemiecku francuskich 719 rekrutów, z ogólnej liczby 5,180 zaliczono do niepiśmiennych). Jakże świetnie od liczb powyższych odbijają następujące: z Brandeburgii (wraz z Berlinem) na 9,037 tylko 28 bez ukształcenia szkolnego, więc na 1,000 tylko 3 niepiśmiennych; z Bawarii tyleż; z prowincji reńskiej, Hesji, z Nasauńskiego i Szlezewiku jeszcze mniej, a z królestwa saskiego na 8,661

tylko 15, z badeńskiego na 5,468 pięciu, z wirtemburskiego na 6,520 tylko jeden niepiśmienny!

Cóż zresztą dziwnego! Cesarstwo niemieckie posiada dwadzieścia pełnych uniwersytetów, trzy niepełne, 385 gimnazjów, 136 szkół realnych, 43 progimnazya, 268 szkół miejskich i około 58,000 szkół ludowych, 10 politechnik, 7 akademii i 24 szkoły sztuk pięknych. Na owych 23 wszechnicach w ciągu letniego półrocza 1882 r. zapisanych było 25,520 słuchaczy; z tej liczby w Berlinie 4,995, w Lipsku 3,166, w Monachium 2,049, w Wrocławiu 1,682 i tak dalej; najmniej w Münster (336) i w Rostoku (236).

Książek, broszur, map i wogóle oddzielnych druków (oprócz czasopism) w r. 1881 ogłoszono 15,191, wyrażnie: przeszło piętnaście tysięcy, czyli na 3,000 dusz jedno wydawnictwo. Cyfra to olbrzymia! Według przedmiotów rozkłada się ona jak następuje: pedagogika i książki szkolne 1,924, prawo i polityka 1,469, teologia i książki pobożne 1,472, powieści, poezye i dramata 1,226, przyrodniczo 924, medycyna i weterynaryja 817, dzieje, życiorysy, pamiątki 779 itd. Czasopism w r. 1882 wydawano 4,611, z tych 2,509 politycznych, reszta innej treści; w tej liczbie: polskich 27, francuskich 23, duńskich 15, łżyckich 6, litewskich 5, angielskich, hebrajskich, włoskich i dolnoniemieckich po 2 i jedno greckie. Wielka szkoda, że nie wiemy liczby prenumeratorów. Niektóre pisma, jak np. *Gartenlaube*, mają przeszło 300,000 przedplatników!

Nie będę się wdawał w statystykę wojenną. Te tylko parę szczegółów podniosę, (zaczerniętych zresztą nie ze źródeł urzędowych, lecz z gazet), że w armii pruskiej służy 18 Hohenzollernów, 8 feldmarszałków, 40 pełnych generałów, 220 generał-poruczników i majorów, oraz 1,593 wyższych oficerów. W liczbie tych dygnitarzy bardzo mało jest nieszlachty. Cesarz jest szefem pięciu pułków; następca tronu posiada 66 orderów, ks. Bismark 45, a generał Moltke 44. Na utrzymanie wojska cesarstwa wychodzi przeszło 360 milionów marek (coż za ogromna cyfra wobec całego rozchodu państwowego 610 milionów), nie licząc 36 milionów na flotę. Czteryście milionów marek wydanych w czasie pokoju na wojsko lądowe i morskie!! Ileż to trzeba będzie jeszcze czasu, trudu, światła, krwi, łez i nędzy, zanim owa szczupła dywizya, złożona z 15,000 książek (piechota) i 4,600 dzienników (jazda) zwycięży 450,000 karabinowych, pałaszyowych, armatowych, okrętowych i innych wszelakiego autoramentu wojowników? *Eppur si muove!*

Jan Karłowicz.

Pesymizm i etyka.

III.

Ten teologiczny despotyzm nie bardzo się podoba obu naszym autorom; nawskróś przejęci duchem chrześcijaństwa, jego łagodnością i ludzkością, niezachwianie wierzą w dobre instynkta człowieka i całych ludów, ufają, iż na wyżyny mogą się piąć wszyscy zgodnie „wielcy i mali, mądrzy i prości“ i że cześć rozumowi można oddawać bez krwawych hekatomb. Podnoszą wysoko sztandar powszechnej miłości bratniej i spokoju, wzdrygają się przed okrutnem hasłem walki o byt. Pozwalamy sobie wątpić, czy wielu z trzeźwo na rzeczywistość patrzących podzielać będzie tę błogą otuchę...

Do celów zastosowane są środki. Jeżeli państwo ma być policyjną instytucją na wielką skalę lub Hobbesowskim Lewiatanem,

tanem, pochłaniającym dobro pojedynczych obywateli, to najwyższe zdobycze ostatniego okresu historii chybiają celu. Wolność i równość dobre są w mierze; gdy ją przekraczają, stają na zawadzie ostatecznym celom ludzkości. Między powszechnym współzawodnictwem a zasadą równości zgody niema, obie muszą paść ofiarą. Swoboda dobra jest w dziedzinie wyznaniowości; w parlamencie prowadzi do niewoli, do nikczemnego czołgania się u stóp powszechnej faworytki — opinii publicznej. Ważny ten wynik praktyczny Hartmanowskiego rozumowania Sommer przemilczał zupełnie; Christ surowo zganiał.

Co do czysto duchowych darów życia, do jakich należy nauka, sztuka, cnota i religijne obcowanie z Bogiem, to według Hartmanna, stanowią one jedyną, jak się wyraża Christ, oazę, na wielkiej pustyni niedoli i boleści. Lecz kropla nektaru nie okupuje kielicha goryczy, tem bardziej, że duchowe rozkosze dostępne są dla tych, którzy najsilniej nieszczęścia odczuwają. Bez cnoty dola ludzi byłaby stokroć gorsza, ona ją nieco łagodzi.

Jak widzimy, szczegółowy obrachunek z darami życia dał rezultat zupełnie ujemny. Dla wzroku nieobałamuconego katechizmem mglami i nieodstępna od nich idealistyczna tęcza, jest w nim znaczna część prawdy. Dla korzącego się przed mądrością w urządzeniu świata Sommera jest zupełnie kłamliwy. Christ, mniej dogmatyczny, przyznaje mu pod niektórymi względami słuszność, lecz ostatecznie zgadza się z Sommerem, że pesymizm daremnie szuka dla siebie w życiu podstawy.

Oto krytyka negatywnej części etycznego pesymizmu. Jakże w ważniejszych swych szczegółach wygląda zbudowany przez jego apostołów system etyki? Schopenhauer nadał swojemu charakter szczególnej jednolitości, zogniskowawszy wszystkie prawdy moralne około jednej zasady: wspólności. To jedyne dobro, jakie według niego wyświadczać powinniśmy bliźnim naszym. Litość ogarniać powinna wszystkich wobec niedoli wszystkich. Nія do głębi naszego jostestwa przejęci, dążyć będziemy wspólnie do jednego celu, unicestwienia chęci życia a tem samem unicestwienia woli. Na to odpowiada Christ, iż litość okazywana istotom bezwzględnie identycznym z naszym „ja“ jest zwyczajnym egoizmem; moralność przeto na nim oparta kłamliwie nosi napis altruistycznej. Z litości wyprowadza Schopenhauer sprawiedliwość, z czem jednak nie zgadza się P. Christ, twierdząc słusznie zupełnie, że sprawiedliwość, jako zupełna bezstronność, nie zna ani pobjazania, ani surowości. Systemat Hartmanna jest o wiele więcej złożonym, i, jak wiemy już, pretensjonalnym. Za punkt wyjścia obrał sobie stanowcze potępienie wszelkiej, dotąd głoszonej moralności, nie wyłączając i chrystyanizmu, któremu nawet otwartą wypowiedział wojnę. Wszystkie znane nam objawy moralne układa w hierarchicznym porządku, poczynając od tych, które stanowią pierwotną, niezupełnie jeszcze świadomą siebie moralność, a kończąc na tych, które łączą się w grupę praw, świadomie przez ludzką całą pojmowanych i do ostatecznych celów ją prowadzących. Do szeregu pierwszych należą wskazówki postępowania, udzielane nam pospolicie przez wrodzone poczucie smaku. Bezwiednie przeto pod wpływem jego staramy się zachować we wszystkim harmonię, umiarkowanie i ten zmysł estetyczny posuwamy częstokroć aż do artyzmu w urządzeniu sobie życia, aż do wytworzenia pewnego etycznego ideału, ku któremu staramy się nagiąć wszystkie czynności i marzenia. Drugiem wyższem już źródłem moralności jest uczucie, przybierające rozmaite formy i objawiające się w poczuciu własnej godności i dumy, w szacunku dla osób, których wartość moralna jest dla nas widocz-

na, we wstydzie, we wzajemności i żądzy zemsty. Dumę stawia Hartmann niezmienne wysoko wbrew ideałowi chrześcijaństwa — pokorze.

Wyżej od uczuć, jako władza prawodawcza w moralności, stoi rozum. On dopiero przyprowadza do porządku chaotyczne głosy uczuciowej strony człowieka. Miłość np. nieraz przechodzi w zaślepienie i popełnia głupstwa; w połączeniu zaś z rozumą jest cennym źródłem moralnych prawideł. Toż samo stosuje się i do wszystkich innych popędów człowieka.

O ile rozum, jako wskazówka moralna, wyższym jest od uczuć, o tyle najwyższy objaw jego: pojęcie i świadomość celu — donioslejszymi są od pospolitej samowiedzy w postępowaniu. W nich to tkwi najpodnioslejsza władza kierownicza w człowieku, one jedynie dają zupełnie pewną rekojmię przeciw błędom, których łatwo dopuszcza się wybuch uczucia lub prosty rozsądek. Powaga ta świadomości celu uwidocznia się najlepiej w częstych starciach dwu głosów wewnętrznych, gdyż gra w nich zwykłe rolę instancyj rozstrzygającej. Dzieje się to na zasadzie następującej. Każde ciało społeczne niezależnie od jego rozmiarów (rodzina, państwo) stanowi organizm, mający swoje właściwe dążenia, mniej lub więcej różne od dążeń innych. Otóż cel organizmu wyższego winien mieć przewagę nad niższym. Ale skoro do celów *najogólniejszych* nagiąć musimy wszelkie nasze czyny, po cóż w takim razie oglądać się na pośrednie? Wypada więc, że istnieje tylko jeden mający prawo bytu ustrój: ludzkość. W istocie, Hartmann bardzo konsekwentnie uwzględnił jego tylko wymagania, a całą rozprawę o drabianie dążeń jest tylko wynikiem manii systematyzowania. Na tem kończy się kategoria tak zwanych subiektywnych zasad moralnych. Ściągnęła też ona na siebie najsilniejsze zarzuty Sommera i Christa.

Jednocześnie widzą oni w rozumie Hartmanowskim nie wyraz najwyższy prawdziwej ludzkiej inteligencji, w której jednoczyłyby się harmonijnie i wola i uczucie i rozsądek, lecz po prostu tylko ton ostatni żywioł, przypominający przez swą suchotę zwyczajną formę logiczną, pozbawioną zupełnie tego, co figuralnie nazywają iskrą bożą. Klasę dobro jednostki, rodziny całego społeczeństwa nawet na ołtarzu Molocha, jest to w pewnym stopniu hołdować zasadzie jeźnitów: cel uświęca środki — a szlachetności nie dodaje jej wcale zapal apostoła.

Prawa moralne, jako normujące działalność jednostek, są subiektywne; jako zadosyuczynienie społecznym celom — obiektywne. Pod względem doniosłości ostatnie stoją nieskonczenie wyżej od pierwszych. Wyrazem ich jest dążenie do wytworzenia jaknajwiększej sumy powszechnego szczęścia. Zasada ta wystąpiła już w pracach myślicieli angielskich: Bentham, Milla, Herberta Spencera, lecz nie doszła jeszcze do ostatecznych a koniecznych wyników, które Hartmann widzi w socjalno-demokratycznym ustroju społeczeństwa. Myliłby się jednakże, ktoby przypuszczał, że jest on zwolennikiem teorii niemieckich lub francuskich reformatorów; przeciwnie, twierdzi, że powszechna równość szybko doprowadziłaby ludzi do zupełnego zezwiorzenia i byłaby grobem dla cywilizacji. Łatwo zresztą było mniemanie to przewidywać, znając jego wstręt dla wszelkiego niwelowania i boską cześć dla najsurowszej walki o byt. Niepotrzebnie obaj krytycy starają się pomódz mu do pogodzenia rozwoju dobrobytu z wzrostem oświaty, skoro sam Hartmann w zasadzie je z sobą kłóci. Oświadcza on wyraźnie, iż szczęście jest możebne tylko na poziomie zupełnej naturalności i, co prawda, nie stoi na tym stanowisku samotnie, jak tego dowodzą marzenia medrea genewskiego. Wyższą jeszcze

prawodawczą władzą jest prawo moralnego rozwoju; ono to pcha ludzką z nieprzepartą siłą do świątyni czystego światła, burząc wszystkie na drodze napotykane przeszkody i nie troszcząc się bynajmniej o pokój i dobro ludów. Kształcić i hartować — oto dwa hasła dla tych, co się do powyższego prawa zastosować zechcą, a raczej dla tych, co nieugiętość planów natury pojmują, i w których ręku spoczywają losy przyszłych pokoleń. Kobieta za jedyne swoje posłannictwo uważać powinna zupełne zaparcie się siebie na korzyść wychowywanych dzieci. Kształcić je należy w twardej, iście spartańskiej szkole, ażeby przywykły do niemiłosiernego, wszystko stopą swą gniołącego rozwoju.

Połączenie obiektywnych i subiektywnych praw moralnych wytwarza: „moralny porządek świata“ albo, jak Hartmann nazywa — „absolutes Moralprinzip.“ Określając go przystępniej, Christ nazywa „częścią teologicznego planu wszechświata w zastosowaniu do ludzkości.“ W tym to porządku powszechnym widać całą mądrość bezwzględnej woli, tak według obu krytyków sprzeczną z jej zasadniczym przymiotem — nieświadomością.

I cała ta kunsztowna, skomplikowana budowa przeznaczona jest na szkołę... konania powolną śmiercią. Ludzkość winna ubrać się w to, co ma najlepszego w swym duchowym skarbcu i położyć się w trumnę.

W ocenianiu teorii Hartmanna, Christ, zdaniem naszym, o wiele wyżej stoi od Sommera. Więcej w nim widać pojednawczego ducha, mniej dogmatycznej ciasnoty. Nie zamyka oczów na mnóstwo trafnych i głębokich spostrzeżeń i pomysłów, nie przeocza ziarna obok plewy. Sommer nie widzi go wcale; to też polemika jego jest mniej wyczerpująca i wszechstronna. Christ więcej poświęca uwagi pierwiastkom etycznym, wyszperanym ze wszystkich dzieł Hartmanna i Schopenhauera, a mniej — jałowej metafizyce. Dosyć interesującym jest jego rozbiór sprawy powstania praw moralnych. Schopenhauer ich nie uznaje, dla tej prostej przyczyny, że nie uznaje zgola żadnego nakazu (imperativu). Christ, wprost przeciwnie, uważa je za istniejące bezwzględnie, tak samo, jak prawa logiki; jeżeli zaś w miarę wzrostu cywilizacji sądzimy, iż one zmieniają się i doskonalą, pochodzi to stąd, iż wylaniają się z ciemnoty pojęć ludzkich, że istniały i dawniej w stanie zupełnie zakrytym dla ludzkiego oka lub kielkowały dopiero. Według niego, nie są one w żadnym razie wytworami warunków czasu i miejsca a jako takie względne, lecz po prostu od nich otrzymują swój specyficzny koloryt, t. j. cechę czysto zewnętrznych, nieistotną.

Przechodząc do oddzielnych pojęć etycznych w pesymizmie, Christ szeroko rozwodzi się nad sumieniem. Schopenhauer widzi w niem tylko karciciela lub chwałcę naszych czynów; przykrość i przyjemność po spełnieniu złego lub dobrego uczynku tłumaczy znowu swym powszechnym mniemaniem, który sprawia, że krzywdę lub dobro wyświadczone komuś odczuwa sam ich sprawca, podmiot i przedmiot w jednej osobie. Dla Hartmanna sumienie jest wyrazem zbiorowym nagromadzonych w umyśle praw moralnych. Na przeciwnym krańcu staje Christ, który chce koniecznie widzieć w sumieniu coś mistycznego, niepochwytanego, jak sama dusza i wiecznie czuwającego, niby obca jakaś i potężna w człowieku siła. Najlepiej różnica stanowisk uwydatnia się w sprawie t. z. wolnej woli i w zależnych od niej pojęciach odpowiedzialności, kary, żalu i poprawy. Christ nie widzi możności stworzenia jakiegokolwiek etyki deterministycznej, gdyż zupełna zawisłość woli człowieka od zewnętrznych przyczyn i pobudek uniemożliwia wszelkie doskonalenie się i postęp. Schopenhauer jest, jak wiadomo, bezwarunko-

wym deterministą. Charakter jednostki to, według niego, wypadkowa rozmaitych czynników zewnętrznych; każda zaś zmiana w postępowaniu na korzyść lub niekorzyść moralności, jest po prostu rezultatem zmiany poglądu na dany przedmiot, czyli pierwiastku czysto rozumowego. Żal po spełnieniu złego czynu nie jest przeto ruchem jakiegś samodzielnej w człowieku władzy lub tak zwanego sumienia, lecz dowodem dokonanego w przekonaniach przewrotu. Stąd też kara nie poprawia człowieka wewnętrznie, lecz, jako czynnik zewnętrzny (obawa), może i powinna zło postępkę uprzedzać. Ludzi, jak zwierzęta, zmusić można do posłuszeństwa prawem — batem, niczem więcej; pobłażliwość i uwzględnianie łagodzących okoliczności dla zmniejszenia winy i kary są niedorzeczne; oko za oko, ząb za ząb. Christ z niechęcią odwraca się od tej policyjnej etyki. Hartmann wyznaje także determinizm, lecz dla złagodzenia jego kracowatości ucieka się do sofistycznego zwrotu, iż wola nasza z pewnych swobód korzysta. Odpowiedzialność składa całkowicie na winowajcę, domagając się dlań złagodzenia kary w takim tylko razie, jeżeli zbroił pod wpływem szczególnego napadu namiętności. Według Christa, widać tu zaciągniętą u indeterminizmu pożyczkę, gdyż niezwykle, zarówno jak i zwykle wezbranie namiętności jest uwarunkowane przez zewnętrzne przyczyny a więc nie może stanowić okoliczności wyjątkowej.

(D. n.)

PIŚMIENNICTWO POLSKIE.

Sewer. *Walka o byt*, powieść w dwóch tomach. Lwów, 1883, nakładem księgarni Łukasiewiczza.

Stoimy nad przepaścią, ku której nas popchnęło lekkomyślne a nieopatrne szafowanie mieniem posiadaniem, hołdowanie zasadzie: „jakoś to będzie,” oraz głęboko zakorzenione przesady kastowe i społeczne. Od niebezpieczeństwa z tej strony uratować nas może jedynie praca umiejętna a wytrwała, stanowcze zerwanie wreszcie z pojęciami średniowiecznymi. Tylko na tej drodze stać się możemy zwycięzcami w walce o byt.

Na tle tych myśli, specjalnie uwzględniając stosunki wiejskie, Sewer rozsnął nową, dwutomową powieść swoją.

Występuje tu tedy na pierwszym planie dwu młodych ludzi (Adam i Stanisław), którzy po skończeniu wyższych zakładów rolniczych zagranicą, powróciwszy do kraju, z zapalem zaczynają na własnym gruncie stosować wiedzę nabytą, wprowadzając rozmaite ulepszenia dogospodarstw ojcowskich, usuwają służbę zdemoralizowaną i bezkarnie okradającą swych panów, sami zostają rzadcami, ekonomami, pisarzami i wogóle nie stroną od żadnego trudu, mogącego podnieść zachwiane siły ekonomiczne, w końcu zaś dają inicjatywę do zawiązania Towarzystwa wzajemnej pomocy pomiędzy właścicielami ziemskimi, w następstwie świetne przynoszące rezultaty. Działalność ich początkowo nieprzewidywana prawie spotyka trudności: muszą walczyć z tradycją, obyczajami, nawykami i poglądami zastarzającymi, na każdym niemal kroku ochładza ich zapal ironia i niedowierzanie. Później jednak osiągnięte powodzenie zaczyna przyciągać innych, nawracają się sąsiedzi, jedni z przekonania, drudzy z interesu przystępują do Towarzystwa, należą doń nawet i włościanie — a wreszcie dobrobyt prawdziwy i wysoki stan kultury rolnej w okolicy całej jest najpiękniejszą nagrodą zacnych młodzieńców. Obok tych dwu postaci

pierwszorzędných, autor ugrupował cały szereg innych, z których każda na swój sposób służy do uwydatnienia jego zamiarów.

Żywiół konserwatywny w powieści wyobraża: potomek trzech wojewodów i pięciu kasztelanów, szlachcie pocziwy, jak to mówią, z kosciami, ale niepamiętający o jutrze, lubiący żyć po pańsku, wiecznie zajęty górnolotnymi projektami, z których przecież ani jednego nie doprowadził do wykonania i, jakby o zbawieniu, marzący o bogatym wydaniu córek zamaż. Dalej przyjaciel jego i współpracownik w gospodarstwie, człowiek starej daty, fanatycznie przywiązany do tradycji szlacheckich, lecz pomimo to czujący całą gwałtowność potrzeby zmian w obecnym stanie rzeczy. Następnie żona pierwszego, arystokratka całą duszą, ślepo wierząca w rozum męża swego, uważająca za *zabawkę* wszystkie reformy, nad którymi mozoli się jej syn i biernie poddająca się swojemu losowi. Jedna z trzech jej córek oddaje rękę młodemu, wykształconemu agronomowi (plebejskiej nacyi), dlatego tylko, że, jak mówi, „woli być Królowczyńską, niż niedzarką.” Jej siostra, najpiękniejsza i najrozumniejsza, z konieczności godzi się z teoryjami ekonomicznymi brata, przebiera między konkurentami, aż w końcu zostaje starą panną; druga, młodsza jest najzapaleńszą zwolenniczką idei postępowych i najgorliwszą ich wykonawczynią, do czego więcej jeszcze zyskuje sposobności, zostawszy żoną najdzielniejszego głosiciela tych idei — Stanisława.

Budowa powieści jest udatna, a barwne opisy, niektóre typy życia schwycone, potoczyste, wszędzie poprawne opowiadanie, sprawiają, że *Walka o byt* czyta się z przyjemnością.

Do stron słabszych zaliczyć można przesadę rażącą nieraz w dowodzeniach bohaterów, jak np. tyradę Stanisława o znaczeniu cywilizacyjnem kwiatków w izbach włościńskich i firanek u okien (str. 243), zbyt szybkie tempo akcji i wskutek tego następowanie w ciągu krótkiego czasu przeobrażeń w pojęciach i stosunkach, na które w naturalnym biegu rzeczy całych lat dziesiątków potrzeba, oraz pewne niewykończenie w szczegółach. Tak np. zamknawszy książkę, czytelnik zapytuje: czemu była Wanda, najukochańsza siostra Adama — bohaterką, czy męczennicą?

W końcu jeszcze jedna uwaga. Powieść, którąś z humorystów niemieckich, że każda *przedmowa* książki jest jej *obmową*. Zdanie to doskonale stosuje się do przedmowy, którą na czele powieści swej umieścił Sewer. Wyrażając tu myśl przewodnią swego utworu i z góry abdykując z wszelkich pretensyj artystycznych, sam obmawia go i odbiera chęć do czytania.

Ad. J. C.

S. Sobieski. *Wspomnienia dawnego studenta*, Warszawa.

W tym luźnym, niespojonym żadną poważniejszą myślą przewodnią szeregu uczniowskich i studenckich wybryków, zaprawionych mniejszą lub większą dozą humoru, niejedną z nas odnajdzie znajomy figiel, w którego płatanin sam może kiedyś czynną grał rolę. Bezpretensjonalnie skreślone obrazki czytamy z zajęciem i dla każdego, mającego jaką taką szkolną przeszłość, stanowią one przyjemną rozrywkę. Następującej się tutaj mimowolnie charakterystyki szkół polsko-niemieckich (rzecz bowiem dzieje się przeważnie w Galicyi i Bukowinie), autor dotknął zlekka tylko. Jakkolwiek mogłaby mu ona służyć za niewyczerpane źródło spostrzeżeń, uwag i faktów. Ilustrujących smutną gospodarkę niemieckich pedagogów w szkołach polskich. Z całego opowiadania wieje usposobienie swobodne i żywe, świadczące, iż autor bez uczucia goryczy i rozczarowania odświeża w myśli ubiegłe zdarzenia, że za-

klady, w których się wychowywał, pomimo wywieranego w nich nacisku germanizacji, zadanie swoje spełniły, umiały zбогаć umysły uczęszczających i wszczepiać w nie gruntowne podstawy nauki.

Nawiasem zauważymy, że *pedagogowie* nie przystoi wcale używanie wyrażen wrodzaju: *lubiał, kuł co się wlało* itp.

Z. Sarnecki. *Różni ludzie, nowele i obrazki*, Kraków.

Po większej części imionami bohaterów zatytułowane szkice te przedstawiają rozmaite typy z różnych sfer zaczerpnięte, połączone nie dosyć wyraźną, lecz względnie do poprzednich wystąpień eks-redaktora *Echa* śmiałą ideą wyszydzania już to błędów wychowania (*Dolcio*, *Niewolnik Kupidyna*, *Terenia* i *Salusia*), już to przesądów kastowych (*Aniela*). Świat salonowy znajdujemy tu w dosyć udatnym odwzwiedleniu, opartem częstokroć na umiejętniej obserwacji. Nie są to sylwetki nowe, lecz, dzięki żywemu kolorytowi i zręcznej formie, mają pewien powab i cechę świeżości. Postacią, stosunkowo mało wytartą, a dobrze wyzyskaną jest *Salusia*, dziewczę z rodziny żydowskiej, wychowane arcy-salonowo i inteligentnie, lecz, jak wszystkie dzieci rodziców, odrzucających tradycję izraelską, a nieprzesiadłych jeszcze dostatecznie duchem i przeszłością ziemi, na której się urodziły, pozbawione wszelkich przekonań, niebiorące żadnego myślowego udziału w walce poglądów i wogóle nieświadome spraw społecznych i wychowawczych. To też gdy porwana miłością dla szlachcica polskiego i ciesząca się jego wzajemnością, marzyła o najwyższym szczęściu, los zmusił ją do pokuty za błędy rodzicielskiego wychowania. Kochanek bowiem uląkł się tego braku moralnych i religijnych podstaw, przejął go trwoga o przyszłe dzieci i... cofnął się delikatnie, zwalczając miłość. Pewna doza prawdy w tym satyryczno-dramatycznym obrazku dobrze charakteryzuje odnośne sfery i stanowi niezłą lekcję dla nich, czem się tłumaczy powodzenie, jakiego doznała *Salusia*, ukazawszy się w suterrenach *Kuryera Warszawskiego*. *Franeczek* zakrawa cokolwiek na genezę samoluba, zmysłowego rozkosznika, skąpego dla wszystkich, prócz samego siebie i kopiącego sobie miłość rozpustą. Typ to bledy i bardzo pospolity. Nie pozbawiona dramatyzmu *Aniela*, pod względem artystycznym, jest może najlepszą w zbiorku. Ma ona za przedmiot fatalizm wielkoświatowych przesądów, niepozwalających arystokratce jawnie odpowiedzieć na miłość szlachetnego guwernera, któremu zawdzięcza duchowe odrodzenie, uratowanie dziecka i umiejętne kształcenie go.

H.

PIŚMIENNICTWO ROSYJSKIE.

Więstnik Jewropy — Styczeń.

Dla literatury rosyjskiej każdy niemal zeszyt *Więstnika Jewropy* posiada większą wartość, niż niejedno dzieło z najpoważniejszym tytułem w świat puszczono. Ponieważ przytem w treści tego pisma mieszczą się zawsze prace wychodzące po za koło znaczenia miejscowego, więc w miarę możliwości zatrzymamy na niem uwagę naszych czytelników.

Książkę styczniową zdoła świeży utwór Turgeniewa, *Klawa Milicz*. Autor opisuje miłość „dziewiętego,” uciekającego od kobiet młodziana ku aktorce, która (rzeczywiście — w Kazaniu) otrula się na scenie z rozpacz. Dowiedziawszy się o tem Aratow (nazwisko bohatera), nie znajduje spokoju, zbiera szczegóły życia nieboszczki i coraz bardziej zaczyna się przekonywać, że on

to był właśnie przyczyną jej tragicznej śmierci. Otacza się pamiątkami po niej, wpada w halucynacje, czuje jej obecność, rzuca się ku niej, a zrana znajdują go omdlałego przed fotelem, na którym jakoby widział siedzącą Klarę. Dochodzi do tego, że słyszy nawet jej głos, nareszcie w pierwszym i ostatnim pocałunku danym nieboszczce umiera ze splotem jej włosów w rękę. Z tego wątku mistrz wysnuł delikatną przedzę, jaśniejącą barwami nieporównanego talentu, porywającego czytelnika swą psychiczną prawdą i artystycznym wykonaniem.

Obok Turgeniewa p. Kowalewski przedstawia „Rachunki“ (*Itogi żyźni*), opisujące epokę, w której rosyjska literatura posiadała takich pisarzy, jak Gogol, Biełłski, Żukowski itd. a obok tego dożywały wieku swego takie typy, dla których książka w ręku oficera była dowodem „wolnodumstwa“, kiedy za najwyższą zasługę poczytywano maszerowanie tak spokojne, ażeby stojąca na głowie szklanka z wodą nie drgnęła... Między licznymi wprowadzonymi do powieści typami jest i polak z tytułem „pan“, „umiejający, jak zwykłe polacy, to wszystko, czego nie umieją rosyjanie.“

Pan Słomiński w krytycznym szkicu *O własności ziemskiej*, przytoczywszy zdania, teorie i poglądy rozmaitych myślicieli i ekonomistów, dochodzi do wniosku, że nowa krytyka podkopła stare zasady, historia dostarczyła bogatego materiału dla nowych wywodów, a jednak nauka nie wypracowała jeszcze tych formuł teoretycznych, któreby były przewodnią nicią dla rozwiązania powikłanej zagadki.

Czy winą tak sprzecznych mniemań — pyta autor — nie leży w różnicy, jaka zachodzi między zwykłym pojęciem o własności ziemskiej a rzeczywistymi faktami i potrzebami? Dla tego też radzi krytykom starannie oddzielać ziemską własność polityczną od ekonomicznej, gdyż tylko zmieszanie tych dwu pojęć spowodowało zamęt.

„Ziemia, jako terytorium — według niego — należy niezaprzeczenie do społeczeństwa, do narodu, do ludzkości całej; lecz jako gleba, produkcyjna, jako podwalina rolnictwa i jako miejsce dla wznoszenia mieszkań, należy do oddzielnych osób lub gmin, uprawiających ją, lub pokrywających zabudowaniami. Na władanie ziemią istnieją dwojakie prawa — polityczne i ekonomiczne; rozwiązanie zagadnienia spoczywa w dokładnem rozdzieleniu tych praw, między społeczeństwem i państwem z jednej strony, a właścicielami ziemskimi — z drugiej.

Z prac ważniejszych zeszytu styczniowego wyróżnić trzeba ciekawy i wyczerpujący artykuł K. Arseniewa p. t. „Życie społeczne Rosyi w satyrze Sałtykowa.“ W marcu upłynie trzydzieści pięć lat od ukazania się pierwszej powieści znakomitego satyryka *Zaputannoje dielo* (Zawikłana sprawa). Szczedryn nie doczekał się dotąd jeszcze krytycznej oceny utworów swoich; ostatnimi zaś czasy, coraz częściej, w pewnych kółkach literackich spotkać można chęci zmniejszenia jego potęgi.

Jako owoc poznania życia urzędniczego pojawiły się *Szkiece gubernialne*, które ukazały się jednocześnie ze zmianą „fraków mundurowych“ na „półkafkany mundurowe.“ Szkiece te były jakby odpowiedzią na rodzące się pytania po porażce sewastopolskiej. Sprzedajność, zepsucie, bezdarność — oto główne przyczyny klęski... Utwór ten dał początek tak nazwanej *literaturze karcącej* (obliczycelno), która miała wielu szczerych, gorących zwolenników, lecz nie długo przetrwała z powodu braku istotnie utalentowanych pisarzy w tym kierunku. Dziś imiona „karcących“ literatów poszły w niepamięć, ale nie zapomniano *Szkieców*, w któ-

rych głównym czynnikiem jest psychologia bytu urzędników w czasach przed reformą. Główną ich zaletą prawdziwości.

Czytelnik widzi przed sobą nie moralne potwory, lecz zwyczajnych ludzi, nie zupełnie dobrych, lecz też i nie zupełnie złych, widzi ich takimi, jakimi wyszli z okoliczności i warunków życia.

Genezę łapówek i wszystko, co z niemi związane, przedstawia satyryk w dwóch opowiadaniach: *Pierwszy krok* i *Nuda*. Nędza, pijaństwo, przygnębienie — oto co popycha do nadużyć; zabijająca jednostajność, brak życia umysłowego, dążenie i zamięłowanie w zbytku, koleżeńskie bloto, to znowu trochę więcej skomplikowane przyczyny upadku na wyższych szczeblach.

Lecz zbliża się epoka emancypacji włościan. Przez długi czas społeczność była między nadzieją, że z tego nie będzie — i trwogą, że to może dojść do skutku. Generał Gołubczykow otrzymał o tej sprawie *najprawomysłniejsze* szczegóły — nie trzeba się niczego obawiać. „Wszystcyśmy lekko i wesoło drgnęli, niektórzy się przeżegnali. Wcaleśmy nie dla tego się przeżegnali, ażeby ta sprawa miała nam przynieść stratę lub pohańbienie, lecz tylko dla tego, że milujemy spokój i porządek. Nie jesteśmy właścicielami ziemskimi, nie chciwość i nie zimny egoizm kierują czynnościami naszymi, lecz właściwie patryotyzm. To ostatnie uczucie zniewala jednych leść na ścianę, drugich łamać krzesła, nas zaś zniewala do spokoju. Tak kochamy ojczyznę naszą, jaka istnieje od wieków (*au naturel*), że nie ośmielamy się nawet wyobrazić sobie, ażeby w położeniu jej potrzeba zaprowadzić zmiany. Ma się rozumieć, nie jesteśmy gorsi od innych i pojmujemy to dobrze, że potrzeba od czasu do czasu zaprowadzić jakąś zmianę.. Lecz wszystko to trzeba tak robić, ażeby „każde technienie chwaliło Boga, ażeby trawka i ta nawet — cieszyła się.“

W *Niewinnych opowiadaniach* już się to spełniło: włościanie uwłaszczeni, odkupy zniesione i na scenę wystąpią inni ludzie. „Generał Zubatow postanawia założyć burzę, podtrzymać przemysł, udoskonalić komunikację, małżonka jego twierdzi, żeśmy dojrżeli i że czas już zrobić *ceci et cela*; gen. Gołubowicki porusza kwestyę „prawdziwej oświaty,“ lecz bez męczenia nauką pisaną i czytania; śmielsi przyznają pewną korzyść z tej umiejętności, lecz tylko dla „ulżenia obowiązkom policyjnym.“ Zatem idą typy, odwołujące się często do słowa *ale*. Jeden nie ma nic przeciw swobodzie pracy, *ale...* czy *on* (t. j. włościanin) przygotowany do trudności swego nowego położenia. Drugi dowodzi potrzeby wolności druku, *ale...* w rękach niedoświadczonych itd.

Lecz nigdzie autor nie osiągnął takiej olbrzymiej, przerażającej siły w przedstawianiu rozmaitych ujemnych stron swego społeczeństwa jak w utworze *Państwo Gołowiew*. Obywatelskie typy te żyły za czasów poddaństwa; owa rodzina Gołowiewów uosobiła więc w sobie społeczeństwo, kształcące się na wzorach stosunków poddańczych i przedstawiała gniazdo leniństwa, niedołęstwa, przygnębienia i poniżenia z jednej strony, tyraństwa, pijaństwa, okrucieństwa i nadużyć z drugiej.

Głupowcy znowu to już typy wzięte z wyższego towarzystwa. Kiedy nastał czas „odrodzenia“ — ustąpili miejsca nowogłupowcom i wcale od tego lepiej na świecie nie było.

W ostatnich czasach Sałtykow wywiódł jeszcze na scenę mniejszych głupowców *Iwanuszek* (Jaśki — chłopcy), którzy patrzą tylko w ziemię, gdyż nie ich rzeczą oglądać się lub bujać w obłokach.

W początku szóstego dziesiątka bieżącego stulecia, po wprowadzeniu reformy włościańskiej, w literaturze rosyjskiej

można zaznaczyć pewien zwrot wsteczny — (*Wiest*, *Moskowskia wiadomości*) pewną dążność zwrócenia sobie potajemnie chociażby części pola bitwy, pierwsze głosy przeciw równości wobec sądu. Niestety, w owym czasie Sałtykow zamilkł i zaledwie w r. 1868, kiedy miesięcznik *Otieczestwiennija zapiski* przeszedł pod nową redakcyę, nastaje nowa, jeszcze świetniejsza epoka dla satyry Sałtykowa.

Pan Woroponow bada *Najnowsze warunki bytu ekonomicznego ludu wiejskiego*. Przekonywa on cyframi, że skoro ceny ziemi zdwajają się, a opłata za pracę wzrasta słabo, wywiera to bardzo niekorzystny wpływ na materialny byt robotników, którzy mają mało gruntu, lub go nie mają wcale. To nieproporcjonalne podnoszenie się cen ziemi i zarobku powiększa liczbę proletaryatu wiejskiego; również niekorzystnie wpływa podwyższenie ceny na zboże przy jednostajnej opłacie pracy, gdyż włościanin mając niedostateczną ilość gruntu, na zapłacenie podatków i innych powinności sprzedaje w jesieni zboże, na wiosnę zaś musi je w trójnasób drożej nabywać, a że kupuje, to fakt nie zaprzeczony. P. W. zapytuje: gdy cena zboża się podwoiła, cena ziemi wzrosła o 1½ raza a opłata pracy tylko o 10%, jakiż więc z tego rezultat?

Ten, co trzyma dzierżawę i płaci drożej za ziemię — sprzedaje drożej zboże i żadnej straty ponosić nie może; kto zjada zboże, a pracą opłaca podatki, ten przy ogólnej drożyznie tylko traci, i ta *taniość* rubla, dla tych, co je mają, stratą nie jest, lecz dla tego, kto na nie zapracować musi — rubel zawsze jest drogim.

Tyle na dziś z *Wiestnika Jewropy*.
C. K.

LIBERUM VETO.

Znaleźli się. — Wielki początek p. W. Skiby. — Jaki byłby jego koniec w Berlinie lub Wiedniu. — Prełtierz zamiast sądu. — Różnica obowiązków względem Schwartza. — Metempsychoza. — Przypuszczalna pamięć p. W. Szymanowskiego. — Pośpiech zecerski. — Majestat boleści ojcowskiej. — Frazesy. — Lekko-myślność. — Jak śpiewano Szujskiemu za życia a jak po śmierci. — Naiwność w złem. — Co jest jeszcze możliwem.

Znaleźli się — a jeżeli co jest dziwnem, to jedynie zagadka, dlaczego szukali się tak długo. Nasza bowiem literatura nie jest korcem maku, a Pac wart był pałaca. Dzięki temu powinowactwu z wyborem p. Wł. Skiba, wytarłszy wszystkie katy prasy galicyjskiej, zjechał do nas jako kronikarz *Kuryera Warszawskiego*. Obejrzawszy miasto i zdradziwszy całkiem nieznaną dotąd tajemnicę obliczania wartości dyamentów, zdążył on już przygotować dla „nowo-postępowców“ takie plugawstwo, jakie tylko w najwyższym rozkwicie potwarczym tego pisma po jego szpaltach się ruszało. Pan ten, mówiąc o nadużyciu dwu posłów polskich w Wiedniu, pozwala sobie następującej insynuacji. „Ze stanowiska nowo-postępowego należałoby (!) zaprzeczyć wszelkiej winy, uznać czyn d-ra K. za zasługę i ogłosić, że szedł on śladem rozumnych i zbawiennych wskazań politycznych, albowiem *primo*, ktokolwiek mogąc zarobić 625,000 złr., wyrzeka ich się dla jakiegobądź niedorzecznych skrupułów, ten nigdy nie dojdzie do „szczęśliwego bytu materialnego,“ który jest *pierwszem politycznem wskazaniem*, a *secundo*, ktokolwiek brzydzi się faktorem, ten nie rozumie drugiego politycznego wskazania: „idźcie drogą przemysłu i handlu,“ gdyż przemysł i handel istnieć nie mogą bez „uczciwego meklerstwa.“ Objaśnić winniśmy

czytelnika, że cudzysłowy w tej garści brudnych słów mają być wyjęte z naszego artykułu, w którym ich niema i który do podobnych wniosków nieupoważniał. Gdyby p. W. Skiba ośmielił się rzucić podobne oszczerstwo w Berlinie lub Wiedniu, niewątpliwie zelżeni postaraliby się zaznaczyć go także z kózka miasta, w którym swoje rzemiosło rozpoczął. Tam bowiem tym zwykłym sposobem kończy się polemika obelgą zaczęta. My dotąd jeszcze wstrzymujemy się od naśladowania tego zwyczaju i poprzestajemy na pręgiem słownym. W obecnej sprawie jest on dla nas tembardziej wystarczającym, że p. Wł. Skiba przetranszłokowany na obecną posadę ze sztabu „dobrowolnie urzędowej“ *Gazety Lwowskiej*, ma ważny powód szkalowania innych zacierać „wskazania polityczne“ własne. Nie sięgając nawet w zbyt daleką przeszłość szanownego „chrześciana“, który kręcił rozmaite katarzynki, nietrudno byłoby nam dowiedzieć, że kiedy „nowo-postępowcy“ o „wpływach“ p. Kamińskiego na prasę galicyjską w interesie Schwartza nie nie wiedzieli, „nowo-konserwatyści“ wpływy te żywcem w Galicyi piórami rozprowadzali. Ale nie nasza to broń podobne wywody; my tylko uważamy za swój obowiązek i prawo przestrzedz p. Wł. Skibę, jeśli w ciele *Kuryera* chce skończyć uczciwie swą długą metempsychozę dziennikarską, ażeby nie udawał, jakoby dusza jego ożywała poprzednio ciała Aristidesów i Katonów, oraz, ażeby porozumiał się w tym względzie ze swym redaktorem. Przypuszczam bowiem, że p. Szymanowski nie zapomnił jeszcze paszkwili, pomieszczonego przeciw niemu w swojej gazecie poznańskich, że pamięta swoje oburzenie i właściwą nazwę, jaką czyn ten ochrzcił. A może ja się mylę? Może on sobie tylko i swemu bractwu przywłaszcza prawo do słusznej wzdryki dla tego rodzaju zamachów? W każdym razie, gdyby redaktorowi *Kuryera* zdarzył się jeszcze raz podobny wypadek, zamawiam sobie możność pytania go powtórnie: jakże smakuje szan. panie? skąd to skrzywienie na roślinkę, którą w swym ogródku tak starannie hodujesz?

Kuryerowi Warszawskiemu nie w tym jedynie wypadku przydałby się Herkules, któryby względem niego spełnił najprzykrzejsze ze swych zadań. P. Bogacki napisał broszurę *O istocie zjawisk psychicznych*. Otóż jakiś reporterzyna, któremu może niedawno obeschły na twarzy łzy ojca, płaczącego nad chorym synem, chwalać antymateryalistyczne wywody autora, dziwi się tylko dedykacji, którą „radby złożyć na karb zecerzkiego pośpiechu.“ I cóż to za głupia dedykacja, którą jedynie wytłomaczyć można „pośpiechem zecerzskim?“ „*Pamięci dwu moich przedwcześnie zgasłych synów*.“ Te słowa, z których każde zawiera w sobie otchłań boleści, nazywają się u nas w piśmie, broniącym uczuć rodzinnych omyłką drukarską! W języku ludzkim brak wyrazu na ochrzeczenie podobnej dziecizny, podobnej zniewagi majestatu serca ludzkiego. I temu bluźniercy, który pisał taką ohydę, nie zadrgała ręka, nie przemknęło mu przez myśl, że może nieszczęśliwy autor, rozpięty na torturach strasznego cierpienia, taką dedykacją łagodzi swoje rany, że nią wywołuje z grobów najukochańsze istoty, ażeby chociaż ich cienie całować, że owe mogiły są dla niego ołtarzami, na których składa najuroczystszą ofiarę! Ach, panowie z *Kuryera*, za wszystkie wasze lekkomyślności, głupstwa, potwarze, nie skazałbym was jeszcze na los ojca, który swą książkę dedykuje zmarłym dzieciom. Bodajbyście nigdy nie doznali „zecerzkiego pośpiechu“ i nigdy własnym sercem nie zmierzli płaskości swego konceptu. Kto w piersi nosi taki straszny grot, nie strzeli do wilczyca, która wyje nad swem nie-

żywym szczeniciem, a tembardziej nie ugodzi bluźnierstwem zbolącego ojca.

Jakże smutno pomyśleć, że pismo, które obiega w najszerszym kole społeczeństwa, dopuszcza się takich niegodnych wybryków, nie schodząc jednocześnie z targu, na którym sprzedaje szumne frazesy o poszanowaniu uczuć rodzinnych. Jak owe frazesy są puste, nieszczerze, na handel wyrabiane, przekonywa ich próba.

Ze wszystkich narodów my podobno najwięcej rozprawiamy o świętościach i najmniej ich szanujemy czynem. Jestże to objaw bezwzględnej krytycyzmu? Nie — jest to wynik bezgranicznej lekkomyślności. Szatan nie zdołałby być tak złym, jak polak umie być lekkomyślnym. Ta jedna właściwość wystarczy mu do podpalenia kuli ziemskiej. W napadzie tej strasznej choroby nie widzi on żadnego obowiązku, nie pojmuje żadnej szkody, traci wszelkie poczucie różnicy między złem a dobrem. Słyszeliście, jakie dziennikarskie *Requiem* śpiewali nasi dziennikarscy kapłani i klerycy nad trumną Szujskiego: wielki, zacy, nieodżałowany, gorący patriota! A jakże śpiewano mu za życia! Łotr, zdrajca, grabarz, morderca ojczyzny. Może inny chór? Nie, ten sam, te same usta. Już dogorywał, kiedy jeszcze go ścigano paszkwilami — jedyne może u nas człowieka politycznego, który miał wielki rozum i wielką odwagę, który nie uląkł się zacieklego terroryzmu opinii, bijącej w stare i podziurawione bębny. Dawał wiele punktów do sporu, więc trzeba było z nim walczyć, tymczasem jego tylko plugawiono! Rzeźmieszek złapany na ulicy, skułakowany przez publiczność, zwymyślany w cyrkule, oskarżony w sądzie i poniewierany w kryminale nie dozna i nie usłyszy tego, czego doznał i wysłuchać musiał jeden z najznakomitszych pisarzy polskich XIX w. i jeden z najrozumniejszych patriotów. A kto go biczował wężami? Lekkomyslność.

Ta sama, która podszeptała posłowi Kamińskiemu zgodzić się do wyszachrowania kolei i Wolskiemu — wytoczyć w jego imieniu proces przedsiębiorcy za odmówienie łapówki. Amerykanin, Niemiec, Francuz zrobiłby to samo, ale z rachuby, ale nie wywłóczyłby lekkomyślnie swego brudu na wierzch. P. Kamiński jest innym, on nie ma świadomości tego, co czyni, nie rozumie, że hańbi siebie i swój naród; wytacza publiczny proces o stracone zyski z popełnionego nadużycia. Procesu takiego nie zapisała chyba dotąd kronika sądowa żadnego innego społeczeństwa, jest to bezprzykładny okaz naiwności w złem. Doprawdy nie zdziwiłbym się już, gdyby kiedykolwiek koniokrad pozwał gospodarza o to, że ten zamknął na noc stajnię lub też odmówił mu przyrzeczonej sumy za powroćcie skradzionego konia. A jednak wolałbym, ażeby ten mój biedny naród miał więcej koniokradów, a za to mniej lekkomyślnych ludzi.

Posel Prawdy.

W PERSPEKTYWIE.

Zjazd górników ratuje tradycję kłoczków. — Grodzieńska fabryka męczenników idei i jej wyrób okazowy. — Historia o pięknym dworze i młodym księdzu. — Sutanny z pejsami i bez. — Nowe przekleństwo i jego geneza.

Popielec w tym roku przeminał tak niepostrzeżenie, jak nigdy: nie słyszałem, aby któremukolwiek z moich znajomych przypięto kłoczek. To źle! — obyczaje narodowe idą w poniewierkę. Tylko uczestnicy zjazdu górników pospieszili w zawar-

tym szeregu na ratunek ginącej tradycji i zapragnęli obdarzyć każdego z nas ogromnym kłocem w postaci zwiększonego cła na węgiel i żelazo. W myśli mej widzę już wielu prozaicznych i na przechowanie spuścizny obojętnych biedaków, stękających pod brzemieniem miłego upominku. Górnicy oprócz sprawienia nam przyjemności mieli jeszcze na celu podniesienie krajowego przemysłu, rozwój naszych fabryk i rękodzieł. Zbyt uczciwa troskliwość. My, panie, posiadamy takie zakłady, jakich za granicą ze światłem nawet nie znajdzie. Teraz np. w Grodnie otwarto nową fabrykę męczenników idei... Główne warsztaty mieszczą się w murach klasztoru, a pierwszym ich okazowym wyrobem jest ksiądz. Ten ostatni w liście otwartym do *Sowr. Izwiestii* wystąpił z publicznym wyznaniem wiary, z którego wnosićby można, że przyczyną jego dzisiejszego osamotnienia są przekonania polityczne! Gdyby nie pewna wprawa w rozpoznawaniu farbowanych lisów, to i ja może dałbym się złapać na wędkę owego *profession de foi*; dziś jednak zadziwia mnie tylko jego *rezolucyjność*. Nie zgadzam się wszakże z *Krajem*, który, przedrukując z gazet rosyjskich spowiedź „męczennika“, dodaje od siebie, że przyczyną pobytu p. Sęczykowskiego w klasztorze grodzieńskim nie pozostaje w żadnym związku z jakimikolwiek zasadami politycznymi. Przeciwnie, związek taki, nie bezpośredni wprawdzie, istnieje. Przyczyny odosobnienia księdza szukać należy w jego sceptycznym zapatrywaniu się na takie płody cywilizacji, jak: kodeks praw, przepisy towarzyskie itp.; ale ten sam sceptycyzm stał się też z biegiem czasu źródłem ogólniejszych poglądów dzisiejszego anachorety.

Zdaje się, że dzisiejszą moją „Perspektywą“ kieruje niewidoma ręka któregoś z ojców kościoła, gdyż widzę przed sobą samych proboszczów i kapelanów... Nowa sutanna, jaka mi się teraz przed oczami przesunęła, okrywa skromną postać plebana z Czemierni. Widziałem go, jak gromił chłopów za pijaństwo, jak ich umoralniał własnym przykładem; widziałem potem, jak ratował palące się chaty biedaków.

Ten ostatni postępek nie podobał się czemiernickim „sutannom z pejsami“, które też oskarżyły księdza o „mieszanie się do spraw świeckich...“ Przyczyną urazy „pejsów“ było ich oryginalne zapatrywanie się na towarzystwa ubezpieczeń. Czy i tu trzeba uszanować różnicę zdań?

Nie wiem, jakie pioruny rzucają czemierniccy ultramontanie Starego Zakonu; co do mnie, to na ich miejscu przeklinałbym wroga: „Bodajbys był świadkiem kradzieży butów.“ Przed kilku miesiącami bawilem u jednego ze znajomych mi dyrektorów cukrowni. Podczas obiadu wszedł do sali jadalnej jakiś wyrobnik i, płacząc, prosił zwierzchnika o pożyczanie mu ośmiu rubli. Zapytany o powód tak gwałtownej operacji finansowej — odpowiedział: „Przed dwoma laty mieszkalem w Kijowie, gdzie jednemu z moich towarzyszy skradziono buty. Miałem być powołany do sądu w charakterze świadka, ale nie doczekawszy się kolei, wyjechałem z miasta i dostałem się do tej cukrowni na robotnika. Teraz otrzymuję wezwanie sądu kijowskiego, abym się tam stawiał i dał świadectwo prawdzie. Nie mam ani grosza na drogę, więc proszę pana o pożyczanie mi tych ośmiu rubli.“ Dowiedziałem się później, że biedak, idąc za radą dyrektora, udawał się do miejscowej rady gminnej z prośbą, aby chciała przyjąć jego zeznania i drogą urzędową je przesłać sędziom kijowskim; okazało się jednak, że p. wójt musiał uważać przymusową podróż do Kijowa za największą przyjemność, gdyż prośbom wyrobnika odmówił.

Nieszczęśliwy Ulisses w tych dniach dopiero, przez śniegi i lody, powrócił do swojej cukrowni, gdzie pracuje spokojnie na zapłacenie długu. Jakie męczarnie przenosił w podróży, dowie się ten tylko, na kim spełni się przypadkiem przekleństwo: Bodajbys był świadkiem kradzieży cudzych butów.

Maryan Bohusz.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Warszawa, d. 15 lutego.

Senat francuski i środki przeciw pretendentom do tronu. — Konferencya londyńska w kwestyi Dunaju. — Smutna sprawa posła Kamińskiego przeciw baronowi Schwartzowi. — Łuny pożarów powstańczych na Wschodzie.

Senat francuski nie zawiódł oczekiwań umiarkowanych republikanów w sprawie pretendentów: większością 165 głosów przeciw 127 przyjął on projekt Izby ósrodkach przeciw pretendentom książęcym z poprawką wniesioną przez p. Waddingtona. Kara wygnania, według niej, ma być wymierzana po przeprowadzeniu procesu sądowego przeciw tym, którzy ogłosiliby swoje pretensje do tronu, lub zmierzali do zamachu przeciw Rzeczypospolitej. Dla wszystkich, stojących zdala od wiru rozdrażnionych namiętności politycznych we Francyi, dla patrzących na stosunki jej chłodno, uchwała ta wydać się musi w zasadzie rozumną i patryotyczną. Senat francuski, widząc podnoszące się zewsząd gło- wy hydry, usiłujące zadusić gwałtem obecny rząd, pośpieszył dać mu broń do ich poskromienia. Wprawdzie stronnictwo białych wichrzycieli oddawna tam znajduje się w zupełnym rozkładzie, a świe- czo wypuszczony z kozy jeden z pretendentów niema już nawet wśród własnych po- pleczników należytego wpływu i uznania; wprawdzie przy chorągwi Burbonów, prócz niezadowolonych klerykałów, zduszonych jezuitów i garści dworskich pie- czeniaryzy, nie stanąłby nikt więcej — wszelako Rzeczpospolita potrzebuje spo- koju dla dalszej pracy około wykończenia swej budowy społecznej. Nie może ona żadną miarą pozwolić tym panom na awan- tury i krecią robotę.

Nieopodal od walki parlamentarnej w Pa- ryzu o zabezpieczenie i utrwalenie repu- blikanśkiej formy rządu i wielkich inte- resów ogólnoludzkich z nią związanych — nad Tamizą przy stole konferencyjnym ścierają się interesy zupełnie innej natury. Chodzi tam o kwestyę Dunaju, o nakre- ślenie choćby tymczasowych granic wpły- wu mocarstw, biorących udział w zęglu- gzie i handlu tej potężnej arterii wodnej.

Obok Anglii, górującej w ujściach Du- naju przeważną liczbą okrętów i miliona- mi tonn ładunku towarowego, występuje tam Austria ze swoją pretensją do prze- wagi nad oswobodzonymi świeżo z podjar- ma tureckiego ludami słowiańskimi i Ro- sya, która niedawno zawiadnęła znów północnem ramieniem delty Dunajowej. Najtwardszym orzechem do zgrzyzienia dla konferencyi będą żądania gabinetu peters- burskiego, który chce owo północne ramię kilijskie usunąć z pod jurysdykcji między- narodowej komisji Dunaju.

Panowie dyplomaci zielonego stołu w Londynie bawią się przy tej sposobności w wielką tajemnicę. Zastrzegają prezesa konferencyi obecnej lord Granville, pomimo niefortunnych usiłowań w tym wzglę- dzie podczas kongresu berlińskiego i kon- ferencyi w sprawie granicznej greckiej.

Nad tym samym Dunajem rozmazał się skandal, o którym korespondent nasz mó- wi na innem miejscu. My tu więc tylko zaznaczamy, że wskutek interpelacji obu

odłamów Rady Państwa postanowiono wybrać komisję parlamentarną dla prze- prowadzenia szczegółowego śledztwa w tej niefortunnej sprawie i postąpienia z win- nymi z całą surowością prawa.

Na Wschodzie tymczasem, pod węglami dzierżaw angielskich, świecą dalekie łuny pożarów powstania w Sudanie i Afgani- stanie.

Według ostatnich doniesień z nad Nilu górnego, załoga egipska w Obeid kapitulo- wała, przez co wielka część zachodnich oaz sąsiednich dostała się w ręce powstań- ców, a w Chartumie obawiają się równie groźnych wypadków.

W Afganistanie północnym świeży wy- buch powstania grozi strąceniem z tronu protegowanemu przez Anglię Abdurrah- manowi.

Widocznie uszczęśliwiani przez angli- ków ich perkalikami barbarzyńcy nie czują się wcale zadowolonymi, pomimo grozy brytańskich paszcz armatnich.

S. C.

CUDZE GŁOSY.

Paskudna sprawa. Ze smutnym epilo- giem parlamentarnej kariery pp. Kamiń- skiego i Wolskiego zaznajamiamy czytel- nika na innem miejscu. Tutaj podajemy tylko wiązanąkę głosów prasy galicyjskiej, świadcząca, że opinia publiczna zwraca się ostro przeciwko postępowaniu owych bo- haterów. Najnamiętniej ze wszystkich ga- licyjskich dzienników uderzyła na byłych posłów *Gazeta Narodowa*.

„W wstrętnej i bolesnej sprawie prowizyi faktorskiej za oddanie przedsiębiorstwa budowy kolei transwersalnej bar. Schwarzwil wybornie określił hr. Taaffe metodę postępowania, jakiej powinno się trzymać Koło polskie, słowem „*Auskehren*“ — wy- mieść!”

Słusznie też postąpiło Koło, że z całą bezwzględno- ścią, bez długich ceregieli, dokonało amputacji człon- ków, dotkniętych wiedeńską gangreną spekulacyjną. Wymagała tego godność kraju, honor reprezentacyi naszej narodowej, jak również szybkie i stanowcze sprawy tej załatwienie było koniecznem ze względu na bardzo doniosłe interesa polityczne.

Lecz czemuż akt desinfekcji Koła polskiego ma być dokonany tylko połowicznie? Czemu rozmiary zarazy nie mają być zbadane wszechstronnie, grun- townie i — bezwzględnie do samego dna?... Dotych- czas bowiem wykluczeni zostali z Koła ci panowie tylko, którzy chcieli wziąć prowizję od br. Schwar- za, ale jej nie wzięli. Pozostaje zaś do wyświecenia druga połowa kwestyi: „kto wziął sumę 625,000 zlr. którą konsorejum bar. Schwarza deponowało w Ban- ku dla krajów koronnych na kosztą przedwstępne-
für Vorauslagen?“

A w tem właśnie leży rdzeń rzeczy... Gdy zagad- ka ta zostanie w sposób autentyczny i szczegółowy publicznie wyświeconą, to wówczas — i wówczas dopiero będzie można powiedzieć z czystem sumie- niem, że Koło polskie bezwzględnie i stanowczo po- stąpiło sobie z „uprzątnieniem“ demoralizacyi z pośród siebie. W przeciwnym razie będzie to tylko „wymie- cenie niezupełne.“

O wiele ogólniej traktuje sprawę tę *Dziennik Polski*. Nie budzi ona w nim wstrętu, ale „głęboki tylko smutek, a to, co cały ogół uczciwych obywateli nazwał wprost łajdactwem, traktuje on, jako „wielkie nieszczęście.“ Byłych posłów sta- ra się bronić potrosze, rozpamiętywując dawniejsze ich czyny, nacechowane pa- tryotyzmem.

„Ale — mówi przecież dalej — wobec fatalnego stosunku sprawy tej do powagi reprezentacyi kraju Koło polskie nie mogło sobie postąpić inaczej, jak postąpiło, uchwalając wiadomą rezolucyę. Cała histo- rya jest tak pogmatwana, że potrzebuje stanowczego wyjaśnienia i Koło spełni zapewne swój obowiązek bez żadnych względów na osoby.“

Czas znów tak mówi o byłych reprezen- tantach galicyjskich:

„Skrzywdzili oni sławę i dobre imię Koła polskie- go, a prosta dymisya ich z obowiązków poselskich nie wystarcza na zmazanie ich czynu. Nie wiedzieć, nad czem bardziej dziwić się trzeba: czy nad smutną odwagą jednego, aby grać rolę agenta i brać prowiz- yę od przedsiębiorcy kolejowego i wytoczyć o nie proces; czy też nad szaloną naiwnością drugiego, aby tak dalece lekceważył obowiązki publiczne i ogłosze- niem listów, zdradzających prawie niepoczytalność umysłu, wywołać powszechne politowanie. Koło wie- le już uczyniło, ale wiele jeszcze pozostaje mu do uczynienia. Powinno się powoli oczyścić z żywiółów, niezupełnie niezawisłych, bo związanych różnorodny- mi interesami finansowymi, Koło nasze — trudno za- przeczyć — przechodzi teraz ciężkie przesilenie mo- ralne, z którego korzystać powinno, aby podnieść po- wagę mandatu poselskiego raz na zawsze.“

Nowa Reforma, pisząc o tej „nieszczę- snej“ sprawie w kilka dni później, tak się odzywa:

„Zdawało nam się, że ogłoszoną wczoraj uchwałę Koła i złożeniem mandatów przez odnośnych posłów zakończoną została zupełnie sprawa „prowizyi“ p. Kamińskiego i wytoczonego o nią pozwu; że werdykt narodowej reprezentacyi, przez organa opinii publi- czej w kraju z pełnem przyjętym uznaniem, będzie ostatecznem sprawę tej załatwieniem. Żudził się, że całe to zajście skończy się na moralnym pogrzebie dwu posłów, których polityczny żywot tak fatalnie się zakończył i że nie będziemy potrzebowali rozją- trzać dalej tej bardzo bolesnej rany naszego politycz- nego organizmu. Zachodzą jednak okoliczności, wskutek których do sprawy tej powrócić jeszcze musimy i — niestety — nie po raz podobno ostatni.“

Nowa Reforma ma tu na myśli podej- rzenia, padające i na innych posłów; do- maga się „jakkąjściślejszego, żadnego szcze- gółu niepomijającego dochodzenia, tak, aby w sprawie tej najmniejsza nie pozos- tała wątpliwość. Wymaga tego honor na- szej reprezentacyi narodowej — wymaga sumienie publiczne, silnie sprawą tą za- niepokojone.

Podajemy jeszcze głos *Gazety Krakow- skiej*, która pod pierwszem wrażeniem świeżo otrzymanej wiadomości, nie wie- dząc nic jeszcze o uchwale Koła, tak od- zywa się z całą namiętnością uczciwego oburzenia:

„Dotykając wczoraj smutnego wypadku, który na- raz jeden zakwestyonował dobre imię narodowe na wielkim świecie, zachowaliśmy wszelką możliwą dy- skrecyę. Atoli zbyt cenną była nasza rezerwa i tę tyl- ko chyba miała dobrą stronę dla redakcyi i dla czytelników, że zwalniała nas od grzebania w bło- cie...“

Pragnęlibyśmy głowę zimną jak lód zachować wobec otwierającej się otehłani i nie dać się unieść przy takim roztrząsaniu żadnemu uczuciu, nawet zgrozy publicznej — ale nie możemy stłumić pytania: w co się ma obrócić u nas wiara publiczna, ufność do ludzi, koło sprawy publicznej chodzących, sama nawet obrona tejże sprawy — jeśli zdrada na tem wszystkim popełniona wchodzi bez nagany publicz- nej ze strony zbiorowego ciała naszej reprezentacyi, wśród której się to stało? Wszak to noc zupełna grozi ogarnięciem całego pola naszego publicznego życia, macanie po ciemku zostaje i idąca za tem ruina wszy- stkich interesów naszych.“

Po stronie napastowanego teraz przez lewiczków Koła stanęła z godną uznania solidarnością i braterstwem prasa czeska. Nie szczędzi ona wprawdzie — i słusznie — wyrazów oburzenia dla byłych posłów, ale szczerze broni godności Koła i honoru polskiego narodu, bezkarnie wystawionego obecnie na docinki *schreibjüngerów* wie- deńskich.

„Cała sprawa — pisze *Politik* — o ile chodzi o łą- czenie jej z parlamentarnymi stosunkami, jest już ubita złożeniem mandatu przez obu posłów. Takie czyny jednostek mogą przecie tylko wtedy kompro- mitować stronnictwo, jeżeli współwinnem było, albo dodatkowo za solidarne z nim się uznało. Tymczasem do posądzania o pierwsze niema żadnej absolutnie

podstawy i drugie uchylone zostało energicznym wadaniem się Koła.

W tym samym duchu odzywają się *Narodni listy*, *Pokrok* i całe wogóle czeskie dziennikarstwo.

Chłopski rozum. Ruski poseł na sejm galicyjski, dr. Antoniewicz, zdawał sprawę z czynności swoich w sejmie przed wyborcami powiatu turczańskiego. Gdy skończył i odpowiedział na interpelacje, zabrał głos gospodarz Ihnar Pawluch. Przemówienie tego Demostenesa z pod słomianej strzechy tyle zawierało w sobie charakterystycznych poglądów na sprawy publiczne, tyle zapatrywań, zdrowym rozsądkiem chłopskim nacechowanych, że nie wahamy się podać go tutaj, acz w skróceniu, ale w brzmieniu dosłownem.

„Czestni gazdowie! — mówił chłop — obywatel. Jak to krasno i nam duże myło, szczo nasz pan poseł, dr. Nykołaj Antonewycz, przybuły tu do nasi nam wyskazały, jak tam w tim sojmilwiwskim posły radjat i jakij konec buwaje tym radam... Duże dobre zrobili wy, pane posle, szczo opowili nam swe tak jasno — teper wże koždyj bude znaty i druhy opowidaty, czomu to pry wyborach pany i panky s żydami tak zwywajut sia i narid temnyj bałamutjat. Bo to zwistno ludiam, szczo pered kilkoma rokamy wybrały my na posła do dumy derżawnioj w Widny jako hoś grafa Jana Zamojskoho. Toj jakijś mołodeńkij pan, zistawszy posłom, ożenyw sia, taj pojichaw świtamy a o radi w Widny jemu bajduże. Teper każut, szczo toj pan poseł meszkaje sobi w Paryży. Ta jakże win tam interesy hromad naszych w radi wideńskij zastupaje, koły peresydzuje w Paryży? Pysały w gazetach, szczo toj pan graf złożyw mandat poselskij, ale potomu na prośbu pana Smolki cofnuł słowo i taki niby w Paryży jest posłom wideńskim... (Ileż to ironii w tej pigułce dla „nieobeenych!“ *Przyp. Red.*) Jakby pan graf buw cofnuw swoju rezygnaciju z posolstwa na prośbu swoich wyborciw, a! to buwby honir, a tak — ono jakpś ne ciłkom fajno...

Tuju besidu, ludońki, ja tomu zakinuw, szczo by my wydiły, jakij to toj poseł, kotroho my sobi swobodno wyberemo, a jakij toj, szczo jeho pany wybrały namawiajut i za toje pry wyborach temnym ludiam płajtaj. Pamiatajte lude, ja wże staryj a Boh znaje, czy dołho moho wiku: wse derżit sia swoich! Rusyny naj wybrajut prawdywoho rusyna, ale uczenoho, mudru hołowu, bo wydyte, tam s panamy ne leħka sprawa. Jak wże pany i żydy — bo one wse jakoś razom derżatj — pry wyborach na swoju ruku nas perehynajut, oho! to wże neczystyj interes! Ne słuchajmo ich i ne budjmo łasi na ich traktamenta, bo to trutyna dla naszoj sprawy. Najjaśnieszij monarcha (autorytet dla chłopa galicyjskiego większy od księdza. *Przyp. Red.*) chce, szczo by sojmy składały sia ne z ludej prodajnych, pidkupyteliw, ale z mużiw swobodnych i czestnych. Dobre nam nasz poseł opowiw, jak to tam w sojmi ide, dla toho, lude, derżit sia razom i swoho ruskoho, bo inaksze propademol!

Spał cham długo i sam czuje, że trochę za długo... Toż zwolna budzić się poczynaj; światło, starannie pod korcem ukrywane, wydobywa się na wierzch, widno się robi... Cóż wy na to panowie „gdzie-niektórzy?...“

KRONIKA BIEŻĄCA.

Bez skrupułu. Lekarze Nencki i Rakowski ogłosili w *Gaz. Lekarskiej* wynik analiz, dokonanych na prózkach siarczanu chininy z 5 aptek warszawskich. Znaleźli oni rozmaite rzeczy, tylko nie znaleźli... chininy. W każdym razie łatwiej pojąć szachrajstwo aptekarzy, niż zbytnią delikatność lekarzów, którzy publiczności nie ostrzegają, gdzie się sprzedaje taka chinina.

Pogłoska. Jedno z pism naszych podaje za gazetami rosyjskimi pogłoskę, że obowiązki pisarzów w sądach pokoju będzie wolno pełnić tylko wychowañcom uniwersytetów.

Przemysł lingwistyczno-polityczny. W Galicyi germanizacya nie wiele popelnila gwałtów na nazwach miejscowości polskich. Ilość za to nagrodziła sobie jakością. W jednym z zagranicznych dzienników czytamy ogłoszenie z gmin *Weidenbaumówka* i *Israelówka*. Na coś podobnego nie zdobyłby się nawet i ów ogładany w Londynie Krao, który ma stanowić łącznik między człowiekiem a małpą.

Zmarli. Ryszard Wagner, znakomity muzyk w Wenei.

— W. A. Maciejowski, znany badacz, w Warszawie.

— Ks. A. Fijałkowski, metropolita kościołów katol. w Rosyi.

Bibliografia polska. J. W. Goethe. *Faust* w przekładzie J. Paszkowskiego, Kraków.

— Dr. J. Scherr. *Historja literatury powszechnej* w przekładzie Br. Zawadzkiego tomu II zeszyt III, Warszawa, Gebethner i Wolff.

H. Nussbaum. *Leon i Lajb*, Warszawa.

Bibliografia niemiecka. Hommel *Die vorsemitischen Kulturen in Aegypten und Babylonien*. Lipsk, 424 str. w 8-ce, 7 marek. (Część druga; pierwsza nosi tytuł: *Die Semiten und ihre Bedeutung für die Kulturgeschichte*, tamże, 2 m.)

— Krause *System der Aesthetik*... wydali z rękopisu Hohlfeld i Wünsche, Lipsk, 1883, str. 440 w 8-ce, 8 i pół marek.

— *Der neue Plutarch*. Pod tym tytułem Rud. Gottschall wydaje życiorysy znakomych ludzi. Obecnie wyszedł tomik 9-ty, w Lipsku, str. 350, w 8-ce m. 6 marek. zawiera: Maurycy Saski przez Prutza, Józef II przez Beera i Disraeli przez Althausa. W poprzednich tomikach zamieszczono biografie, między innymi: Lutra p. Rückerta, Voltaira p. Rosenkranza, Robespiera, Schillera i Byrona p. Gotschalla, Metternicha p. Beera, Napoleona I p. Kleinschmidta, Mozarta p. Reissmanna itd.

— Deter *Kurzer Abriss der Geschichte der Philosophie*. Wydanie trzecie, Berlin, 1883, str. 136 w ósemce, 2 m. 40 f.

— *Bibliotheka scriptorum classicorum* Engelmanna, wyd. 8-me sporządził Preuss. Lipsk, 1882. 2 tomy, 8-ka w. po 700 stronie przeszło każdy. 36 marek. Szczegółowa bibliografia wydań i opracowań pisarzy greckich i rzymskich, z wymienieniem rozpraw i artykułów czasopismowych, dotyczących tych autorów. Dzieło niezbędne dla specjalistów, bardzo starannie i do najnowszych czasów opracowane. Artykuł Cicero np. zajmuje 100 str. drobnego druku, a liczba wymienionych prac o Ciceronie dosięga półtora tysiąca!

— Hultsch *Griechische und römische Metrologie*. Berlin, 1882, wyd. 2-e. str. 745 w 8-ce. 8 marek. Obszerna monografia o miarach i wagach klasycznych, ze względem na dawniejsze od nich miary azjatyckie i afrykańskie, którym druga połowa tomu jest poświęcona.

— Prölss *Geschichte des neueren Drama's*. Lipsk, str. 462 w 8-ce w., cena całego tomu 3-go 13 i pół marek. Wyszła dopiero część jego 1-a, obejmująca dzieje dramatu niemieckiego od wieku XV do Lessinga włącznie. Krytyka bardzo pochlebnie pracę tę ocenia.

— Mahrenholtz *Molière's Leben und Werke* vom Standpunkte der heutigen Forschung. Heilbronn. 1881, 400 str. w 8-ce w. 12 m. Toż samo w skróceniu: *Molière, Einführung in das Leben und Werke des Dichters*. 1883, tamże, 4 marki, str. 266 w 8-ce mn. Obie prace wyborne, wyświetlające źródło komedii Molièra i podające obszerną literaturę odnośną.

— Lehrs *De Aristarchii studiis homericis*. Lipsk, str. 506 w 8-ce w., 9 marek.

— Feuerbach *Das Wesen des Christenthums*, czwarte wydanie głośniego dzieła. Lipsk, 1883, 456 str. w 8-ce, 6 m. 75 f.

— Bohm *Unsere Kinder in Haus und Schule*. Berlin, wyd. 2, 1882, 110 str. w ósemce, 1 i pół marki. Autor, przełożony wyższej szkoły prywatnej męskiej w Berlinie, zebrał różnymi czasami ogłaszane swoje spostrzeżenia i rady pedagogiczne; wiele mają one wartości, jako oparte na doświadczeniu i umiejętnym poglądzie na wychowanie. Książeczka zasługiwałaby na streszczenie w naszych czasopismach specjalnych.

Bibliografia czeska. Fr. Lad. Rieger. *Rzecz*. Praga. Wyszedł zesz. 17 (każdy po 30 kr.) i zawiera działalnosc i mowy Riegera w r. 1848.

— Tuma *Pollaczenny národ*. Obraz osuduw lidu irského pod cizovládou britskou. W Kutnej-Horze, 1882, str.

168 w 8-ce w. 1 zlr. 20 ct. Obraz dziejowy i geograficzno-społeczny Irlandyi po dzień dzisiejszy.

— *Mały Nasze znouzrozeńi*. Część 3-a. Praga, 1883. str. 146 w 8-ce, 1 zlr. Część I zawiera obraz upadku narodowości czeskiej przed r. 1848; część II opisuje wstrząśnienia lat 1848 i 1848. III — powrót do absolutyzmu, lata 1849 do 1851.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

P. A. Kalinowskiemu w M. Wydawca posyła Panu zeszyt 8 Langego bezpłatnie; za marki należy się nam kop. 17.

P. A. N. Nie.

P. A. Mont. *Białozorowi*. *Prawdę* stale wysyłamy na prowincję w sobotę, wina zatem tylko pocztę. Nr. 2 obecnie wyczerpany, 5 wysyłamy ponownie.

P. Z. S. w *Dziurynie*. Wysłaliśmy i objaśnili listownie.

P. B. Wł. Ogłoszony tylko zakaz, wzbraniający urzędnikom udzielać prasie informacji z zakresu ich służby.

P. S. Ch. Dzieło Brandesa ma tomów cztery, ale każdy z nich stanowi odrębną całość. Obecnie zaczęliśmy drukować tom trzeci.

Pani C. K. Mając w przesłanym szkicu wyraźne dowody talentu, zachęcamy Panią do wykończenia go. Szczegółowe uwagi krytyczne mogliśmy zrobić tylko ustnie lub listownie. Tu tylko piszemy słowa zachęty.

P. St. w *Włodawie*. Wszystkie książki wysłane z wyjątkiem *Męczenników myśli*, dotąd jeszcze niewydanych. O wyjściu tej książki zawiadomimy w *Prawdzie*.

P. M. Parn. w *Białej Cerkwi*. Podobnego pisma w Niemczech niema. Najpopularniejszy *Gegenwart* zajmuje się niemal wyłącznie sprawami literackimi i artystycznymi. Teraz powstało *Echo*, które jest przedrukem ważniejszych artykułów wszelkiej barwy i najrozmaitszej treści.

OFIARY.

Na *grobowiec Bolesława Śmiałego*. Dr. Sawicki z Gradowa kop. 50, W. G. rs. 2 k. 50.

Na *kasę Mianowskiego*. A. Kłopotowski z Charkowa rs. 5.

Na *pomnik Mickiewicza*. Wygrane w karty w Żytyniu rs. 4 kop. 60, Aniela Płaskowska, Józefa i Jadwiga Guth z Kiele rs. 3, Kółko młodzieży rs. 4, F. K. rs. 2, W. G. rs. 2 kop. 50, K. kop. 50.

Dla *studentów w Petersburgu*. Tomaszewicz z Ostrołęki rs. 2 kop. 25.

Dla *uczniów niezamożnych*. Antoszewicz z Użłowej rs. 5. Szadkowska rs. 1, zebrane w kółku rodzinnem w Rosołowicach rs. 6, Witwicki Władysław z Niżnie-Serghńska rs. 4, Mazarak z Olszańskiej cukrowni rs. 2, bezimiennie rs. 1.

O g ł o s z e n i e.

Biblioteka matematyczno-fizyczna, wydawana przez M. A. Baranieckiego z zapomogi Kasy pomocy naukowej im. Mianowskiego. Serya I. Tomy II i III.

Wiadomości początkowe z fizyki, S. Kramsztyka.

Kartonowane. 103 drzeworyty. Cena 30 kop. i 45 kop. 5—8

Szan. abonentów w Warszawie i na prowincyi upraszamy o natychmiastowe doniesienie nam o każdym opóźnieniu lub niedoborze **PRAWDY**. Pismo nasze wysyłane jest w Warszawie w sobotę i niedzielę każdego tygodnia, na pocztę zaś — w sobotę.